



# ODRODZENIE

TYGODNIK

Nakład: 40.000  
Redakcja: Daszyńskiego 16  
Administracja: Daszyńskiego 14  
Cena 25 zł

Rok V

Warszawa, dnia 2 maja 1948 r.

Nr 18 (179)

BOHDAN CZESZKO

## SYNOWIE

Po pracy wracałem ze Stasiakiem do domu. Mieszkałiśmy wówczas u gospodarza nazwiskiem Makuch i tak się zdarzyło, że kwatrowaliśmy u niego już do końca powstaniowej tułaczki. Po ciemku brnęliśmy w czarnym błocie pomiędzy opłotkami. Lampka paliła się tak ciemno u Makuchów, że w mroku nie widać było nawet okna chaty. W izbie mieliśmy swój kąt pomiędzy szafą a piecem. Długo w noc przewracaliśmy się na śliskich, papierowych siennkach, wszy bowiem pobudzone ciepłem, nie dawały zasnąć i dławili nas po czystym powietrzu pół kwaśny zaduch izby. Poza tym Makuch rzeźbił głośno, zaspiając w pozycji wół siedzącej — był chory na astmę. Dreczęć mnie odgłos jego spazmatycznego oddechu i z początku, gdy leżałem w ciemnościach, na przeżmian złościłem się i litowałem nad nim. Później jednak przywykłem i nie sprawiała na mnie to większego wrażenia, niż odgłos blaszanego zegara, który ćwierkał mi nad głową.

Gospodarze nasi byli bardzo ubodzy. Piekli tylko raz chleb za czasów naszego pobytu u nich, a to z okazji Bożego Narodzenia. Jedli go później tak jak hostie i zachwycał się jego przedziwnym smakiem. Później Makuchowa z dumą i troską układała bochny na półce, biegnącej w poprzek pod powalą izby, dla ochrony przed myszami.

Oni miesiącami nie jedli chleba. Żywił się kartoflami. Obierzyony od kartofli zeżerał koń, siwy, posępny stwór o zmierzwionej sierści i mętnym wzroku. Gospodarz podnosił co rano zwierzę z ziemi przemawiając doń: „Agędnie i zaprzęgał do rozklekotanej furki, a by odrobić którąś tam z kolei podwodę. Koń Makucha, który nie miał już nawet tyle sił, aby spać na stojącej, był taki, jak ich całe zwoje, to znaczy gospodarstwo. Od-

nośiem wrażenie, że wstają co rano po to, aby spędzić dzień w bezładnej szarpaninie z przedmiotami. Ziemi mieli dwa hektary. Zytko na niej rosło małe, co do długości, ostre wąsach. Makuch już dawno przestał pracować w odległej o kilka kilometrów fabryce chemicznej. Przestał, gdy opary kwasów do reszty zamieniły jego płuca w miękką rdzę. Pracę po nim objął syn. Był to chłopak dorodny, stronił od wódki i nie nosił za cholewską noż. Coż, kiedy powieszono go przed rokiem na telegraficznym słupie. Makuchowa zaniemogła od tego czasu ciężko na serce i nie mogła wykonywać cięższych prac domowych.

Kiedysmy ze Stasiakiem przybyli w te strony i poczęliśmy szukać kwatery, napotykalimy wszędzie na tępą i milczącą niechęć. Makuchowie pierwsi nie przyjęli nas, tak, jakby wlokła się za nami duma. Kiedy Stasiak skończył swą przemowę, którą powtarzał przy tego rodzaju okazjach z uporczywością zaiste godną podziwu, Makuch wskazał nam kąt pomiędzy szafą i piecem, a Makuchowa dziwiła się przyjaźnie: — „Patrzajcie, w Warszawie panowie a jakie biedaki! — Dziwiła się bezustannie. Grymas zdziwienia przywarł na zawsze do jej nienaturalnie tustej i bladej twarzy. Z półotwartymi ustami i podniesionymi brwiami wysłuchiwała oczywistych bredni, jakie wieczorami plótł Stasiak, rozpowiadając o swych bohaterskich czynach w Kampinosie za czasów powstania. W rzeczywistości spełniał tam funkcję rakarza nieomal, asystując dowódcy kompanii, gdy ten strzelał z pistoletu wziętych do niewoli SS-manów. Stasiak był dziwnie zezowaty i fakt ten z góry dyskwalifikował go jako żołnierza pierwszej linii. Był on z zawodu stolarzem i przeżywał pracując w Międzyborzach przy cieśnótce swoistą deklasację. Nie wiadomo bo-

wiem, dlaczego uważał zawód cieślowski za coś niesłychanie wulgarnego i teraz, kiedysmy szalowali szepem w ogrodzie okalającym dwór „Międzyborze“ mawiał, wbił jając obuchem siekiery gwoździe:

— Kiedy przykleję tych kilka deseczek, zejść na dół i oheblujemy wówczas ten ramiak.

Wyglądało to w ten sposób, że ja posuwałem się raktem wzdłuż olbrzymiego pnia, ociosując go do kantu toporem, a Stasiak wyrównywał za mną krawędź przy pomocy siekiery. Chwaliliśmy sobie tę robotę, było tu bowiem zacisznie. Wiatr, który dął bez przeszkody po rozległych, płaskich polach, tutaj szumił jedynie w konarach czarnych drzew. U spodu panowała zielona od pleśni i biała od śniegu cisza. W parku stał rozkraczony ciężki budynek, który w okolicy nosił miano pałacu. Wedle określenia Stasiaka w domu tym hycel z powodzeniem mógłby uprawiać swe rzemiosło.

Zresztą i tak prawie nikt już nie mieszkał w pałacu. Na dole kwatrowało kilku oficerów Wehrmachtu (z ich to polecenia budowali w parku garaż), a dwa piętra zajmowały dziedziczka i jej córka. Nie widziałem ich nigdy z bliska. W niedzielę jedynie, goląc się, obserwowałem przez okno kryty powóz, wiozący je do kościoła. Dziedziczkę wyobrazałem sobie jako siwą, zmumifikowaną panią z pincez, jej córkę jako rachityczną dziewczewo o pływach włosach i długich, niebieskich dłońiach. Wcale jednak tak nie było. Zapoznałem się z nimi bliżej już po Bożym Narodzeniu. Siedzieliśmy ze Stasiakiem na krokwiach i krysiłszy dach garażu, Stasiak zdjął w pewnej chwili czapkę. Spojrzałem na dół między krzewy. Osypuła szkła- nie igielki śniegu szły z głębi ogrodu dwie niewiasty. Obydwie tegle i wysokie, a młodsza w okularach

rysunki MARII HISZPAŃSKIEJ

PAWEŁ AN TOKOLSKI

### DO INTELIGENTA POLSKIEGO

Nie bań, lecz prawdę dziś opowiem  
Polskiemu inteligentowi —  
Nie takie dawne to znów lata:  
Pod jednym płaszczem — bratnie dusze  
Dwaj demokraci, dwaj geniusze,  
Spotkali się dla wiecznych wzruszeń,  
Gdzie Piotr spiżowy w cwale wzlata.

Wiek się zaczynał. Grom żelazny  
Zagłuszał „Marsylianki“ spazmy;  
— Ten wiek nie lekkie dźwigał brzemię  
Nim ścichły echa burz stokrotne,  
Już tych młodzieńców dusze lotne  
Pojęły, że w żelaznym kotle  
Wre wolność, co ma zalać ziemię

Mickiewicz. Puszkina. Oto znowu  
Rozlega się ich wolne słowo  
Nad piekłem Europy srogiem.  
Oto bez trwożliwego dreszczu  
Patrzą ci dwaj przez mrok złowieszczy.  
Więc — Polska nie zginęła jeszcze  
I nie jest kraju mego wrogiem!

Przełożył z rosyjskiego Jerzy Pomianowski

RAFAEL ALBERTI

### UPIÓR KRĄŻY PO EUROPIE\*)

...i starożytnie rodziny zamykają okna,  
wzmocniają drzwi i zamki,  
ojciec śpieszy tajemnie do banku,  
na giełdzie aż puls mu zamarł...  
A potem śni o stosach,  
o płonących trzodach śni nocami,  
i że zboża mają plomieni w kłosach  
a zamiast ziarnem — sypią skrami

Widzi kasy —  
żelazne kasy — z robakami —  
Gdzież jest?  
Gdzież jest?  
Strzelają, strzelają za nami!  
Och!...  
Chłopi nurzają się w kałużach naszej krwi.  
Co to?!

Z a m k n i j m y,  
zamknijmy granice co prędzej!  
Patrzcie, już się zbliża,  
z wschodnim wiatrem pędzi,  
od tamtych, czerwonych, głodnych stepów idzie.  
Niech jego głos robotnicy nie posłyszają!  
Niech jego gwizd do fabryk nie wtargnie!  
Niech nie ujrzą ludzie ze wsi wzniesionego sierpu.  
Zatrzymać go —  
Bo przesadza morza i oceany  
przebiegając całą geografiią wszędy i wzdłuż  
bo się ukrywa pod pokładami,  
wyciąga na wierzch palaczy zbuntowanych  
i każe nienawiści i nędzy się burzyć  
każe się buntować marynarzom

Z a m k n i j c i e!  
zamknijcie dobrze więzienia!  
Ich głos się o mury rozbije.  
Co to jest?  
Kto?!

Ale my za nim idziemy,  
wschodni wiatr go nam przynosi.  
Pytamy go o czerwone stopy triumfu i miłości,  
sadzamy u stołu biednego wieśniaka,  
każemy prowadzić strajki i manifestacje,  
każemy rozmawiać z żołnierzami i marynarzami,  
odwiedzać w biurach drobnych urzędników  
i zaciskać pięści krzycząc w parlamentach ze złota i krwi

Upiór krąży po Europie,  
przebiega świat...  
My go nazywamy Towarzyszem

Przełożyła z hiszpańskiego Zofia Szleyen



Bronisław W. Linke

Mur

(Dokończenie na str. 6)

\*) Pierwsze słowa „Manifestu Komunistycznego“.

CZESŁAW MIŁOSZ

## PABLO NERUDA

ALBERTO ROJAS JIMENEZ  
PRZYBYWA LECĄC

Między trwożliwe pióra, między noce,  
Między magnolie, między telegramy,  
Między wiatr południowy i morski wiatr z zachodu,  
przybywasz lecąc.

Niżej niż groby, niżej niż popioły,  
Niżej niż zamrożone ślimaki,  
Niżej niż głębokie podskórne wody,  
przybywasz lecąc.

Jeszcze niżej, wśród utopionych małych dziewczynek  
I ślepych roślin i zepsutych ryb,  
Jeszcze niżej, znowu pomiędzy chmurami,  
przybywasz lecąc.

Dalej niż krew, dalej niż kości,  
Dalej niż chleb, dalej niż wino,  
Dalej niż ogień,  
przybywasz lecąc.

Dalej niż ocet i śmierć,  
Między zgnilizną i fiołkami,  
Ze swoim głosem niebiańskim, w mokrych butach,  
przybywasz lecąc.

Ponad deputacje i apteki,  
I koła i prawników i okręty,  
I czerwone zęby świeżo wyrwane,  
przybywasz lecąc.

Ponad zatopione dachy miast  
Gdzie duże kobiety rozczesują włosy  
Szerokimi rękami i zgubionym grzebieniem,  
przybywasz lecąc.

Koło piwnicy gdzie wino dojrzewa  
W ciepłych dloniach pełnych osadu,  
W powolnych dloniach z czerwonego drewna,  
przybywasz lecąc.

Pośród lotników którzy nie wrócili,  
Koło kanałów, koło cieni,  
Koło pogrzebanych białych lili,  
przybywasz lecąc.

Między butelki gorzkiego koloru,  
Między krążki anyżu i nieszczęście,  
Podnosząc ręce i płacząc,  
przybywasz lecąc.

Ponad dentystów i kongregacje,  
Ponad kina, uszy i tunele,  
W nowym ubraniu, ze zgaszonymi oczami,  
przybywasz lecąc.

Ponad twój nieogrodzony cementarz  
Gdzie żeglarze gubią drogę,  
Kiedy pada twoja śmierć jak deszcz,  
przybywasz lecąc.

Kiedy deszcz twoich palców pada,  
Kiedy deszcz twoich kości pada,  
Kiedy twój szpik i twój śmiech pada,  
przybywasz lecąc.

Ponad kamienie w które się roztopiasz  
Płynąc w dół zimy i w dół czasu,  
Kiedy twoje serce w dół splywa kroplami,  
przybywasz lecąc.

Nie jesteś tutaj, otoczony cementem  
I czarnymi sercami notariuszy  
I oszalałymi kośćmi kawalerzystów:  
przybywasz lecąc.

O maku morski, o mój serdeczny,  
O gitarzysto ubrany w pszczoły,  
To nieprawda ten cień w twoich włosach:  
przybywasz lecąc.

To nieprawda że ten cień idzie za tobą,  
To nieprawda że wszystkie nieżywe jaskółki,  
Cała ta mroczna kraina lamentu:  
przybywasz lecąc.

Czarny wiatr z Valparaiso  
Otwiera skrzydła z dymu i piany  
Aby zamieść niebo tam gdzie przechodzisz:  
przybywasz lecąc.

Oto parowce i chłód martwego morza,  
I gwizdki i miesiące i zapachy  
Deszczowego ranka i brudnych ryb:  
przybywasz lecąc.

Tutaj jest rum i ja i ty i moja dusza w której płacze,  
I nikogo i nic, tylko schody  
Z połamanymi stopniami i parasol:  
przybywasz lecąc.

Tutaj jest morze. Schodzę w nocy i słyszę  
Jak lecisz pod pustym morzem,  
Pod morzem które mieszka we mnie w ciemności:  
przybywasz lecąc.

Słyszysz twoje skrzydła i twój lot powolny  
I woda umarłych mnie uderza  
Jak ślepe mokre gołębie:  
przybywasz lecąc.

## Przekłady

## OD TŁUMACZA

Utwory, które poduję pochodzą z różnych faz twórczości największego dzisiaj poety Ameryki Południowej, a jak twierdzą niektórzy, największego poety obu Ameryk. Wiersz „Alberto Rojas Jimenez przybywa lecąc” został napisany w r. 1931. Wtedy to umarł młody poeta i krytyk chilijski, przyjaciel Nerudy i wiersz powstał z tej okazji. Wiersze „Almeria” i „Znieważone ziemie” są częścią tomu „Hiszpania w sercu” który przedstawia nadzieję, zwycięstwa i klęski ludowej Hiszpanii z czasu wojny przeciwko faszystom (Neruda był wtedy konsulem chilijskim w Maurycie). „Serce Magellana” pochodzi z ostatniego okresu. Jest to poemat o ojczyźnie Nerudy, ściślej o jej najbardziej na południe wysuniętym krańcu — Ziemi Ognistej i wodach Cieśniny Magellana, oraz o przeszłości — o pierwszych odkrywca, którzy w początku XVI-go w po raz pierwszy żeglowali dokoła ładu amerykańskiego od południa Neruda w ciągu ostatnich kilku lat podróżował dużo po Chile, co łączyło się z jego pracą polityczną. W liście do tłumacza, rok temu, donosił m. in. o miesiącu spędzonym na pustyni nitratowej na północy Chile i o dłuższym pobycie w Ziemi Ognistej.

Przybywasz lecąc sam, samotny,  
Sam wśród umarłych, sam na zawsze,  
Przybywasz lecąc bez cienia bez imienia,  
Bez cukru, bez ust, bez krzaków różanych,  
przybywasz lecąc

## SERCE MAGELLANA

Budzę się nagle w nocy,  
myśląc o dalekim Południu.

Skąd jestem, pytam siebie czasem, skąd u diabła  
przychodzę, jaki dzień jest dzisiaj, co się dzieje.  
szorstko w środku snu, drzewa, nocy,  
kto to, pytam, i idę i w drzwiach staję, sam,  
i fala podnosi się jak powieka, dzień  
rodzi się z niej, błyskawica z pomrukiem tygrysa.

Dzień przychodzi i mówi mi: „Czy słyszysz  
wodę powolną, wodę,  
wodę  
nad Patagonią?”  
I odpowiadam: Tak panie, słyszę.  
Dzień przychodzi i mówi mi: „Dzika owca  
daleko, w guszy, liże zamrożony kolor  
kamienia. Czy nie słyszysz jak beczy, nie poznajesz  
niebieskiej zamieci w której rękach  
księżyc jest kubkiem, czy nie widzisz stada,  
wrogię palca wichru co dotyka  
fali i życia swoim pustym pierścieniem?”

Przypominam samotność  
Cieśniny.

Długa noc, sosna idzie tam gdzie idę.  
Gluchy kwas, utrudzenie, zacina  
wieko beczulki, wszystko co mam w życiu.  
Płatek śniegu płacze, płacze w moich drzwiach  
pokazując swoje jasne, rozdarte ubranie  
małej komety co szuka mnie lka.  
Niema nikogo ktoby widział wicher, obszar, wycie  
powietrza na pastwiskach.

Zbliżam się i mówię chodźmy. Dotykam Południa,  
dosięgam piasku, suchy czarny krzew  
widzę, cały z korzeni i opoki,  
wyspy szarpane przez wodę i niebo,  
Rzekę Głodu, Serce Popiołu,  
Pałac Złowrogiego Morza, aż tam  
gdzie syczy samotny wąż, gdzie grzebie  
ostatni ranny lis i chowa swój krwawy skarb.  
Spotykam burzę i jej głos pękania,  
jej głos jak starej książki, jej głos tysiąca ust  
opowiada mi coś, coś co powietrze  
każdego dnia na nowo pożera.

Odkrywcy zjawiają się  
i nic z nich nie zostaje.

Woda pamięta wszystko co stało się z okrętem.  
Twarda obca ziemia strzeże ich czaszek  
które dzwieją w antarktycznej wiejbie jak kornety,  
i oczy człowieka i wolu dają dniowi swoją próżnię,  
swoją pierścień, swój dźwięk nieugiętego czuwania.  
Stare niebo wygląda żagla,

nikt  
nie przetrwał: rozbity okręt  
leży z popiołem gorzkiego marynarza  
i ze złotych słupów, ze skórzanych  
przegród chorej pszenicy, z zimnego  
płomienia morskich podróży  
(jaki łomot w nocy, skały i okręt, na dzień!)  
została wypalona kraina bez ciała,  
bezustanna pustka zaledwie skażona  
przez czarny fragment  
wygasłego ognia.

Tylko pustynia panuje.

Strefa niszczonej powoli przez noc, wodę, lód,  
obszarze w który bije czas i kres,  
z jej fioletowym znakiem, z lazurową  
podstawą dzikiej tęczy,  
ojczyzna moja w twoim cieniu zanurza swe stopy  
i zawodzi w agonii rozgniecione róża.

Przypominam starego odkrywce.

Po kanale żeglujecie na nowo  
zamrożone zboże, broda bitwy,  
lodowa jesień, zraniony podróżny.  
Z nim starożytnym, z nim umarłym,  
z wydziedziczonym przez wściekłą wodę,  
z nim, z jego rozpaczą, z jego czołem.

Za nim albatros i lina rzemienna  
zjedzona, oczy jego poza spojrzeniem,  
i sznur pożarty, między złamanymi masztami,  
ślepo patrzący na gniewną wspaniałość  
kiedy w próżnię pierścień z palca, kość  
padają, ześlizgując się po morskiej krowie.

Magellana.

Kim jest bóg który nas miją? Patrz na jego robaczywą brodę,  
na jego spódnie które drze i kasa  
grube powietrze jak strącany pies.  
Ma wagę wyklętej kotwicy jego postać  
i gwizdawe nawalnica i wiatr północny przypada  
do jego mokrych nóg.

Muszla z mroku.  
cień czasu,  
ostroga  
preżarta, stary władca nadbrzeżnej żaloby, gniazdo orle  
bez genealogii, splamione źródło, nawóz  
Cieśniny rozkazuje tobie  
i za krzyż na twą pierś masz tylko krzyk  
morza, biały krzyk, morskiego światła,  
szponów, ze skoku w skok, żądła co zniszczało.

Do sięga Pacyfiku.

Bo złowrogi dzień morski kończy się któregoś dnia  
i nocna ręka obcina, jeden po drugim, swe pauce,  
aż nie ma jej, aż rodzi się człowiek,  
i kapitan odkrywa wewnątrz siebie stal  
i Ameryka unosi swoją bańkę mydlaną  
i brzeg unosi swoją bladą rafę  
którą plami jutrenka mętna od narodzin.  
aż z okrętu dźwiga się krzyk i tonie  
i znowu krzyk i świt rodzi się z piany.

Wszyscy umarli.

Bracia morza i wszy, mięsożernej planety,  
czy widzieliście wreszcie pień masztu przygięty  
w huraganie, czy kamień strzaskany  
widzieliście pod śnieżnym oblędem zawiei?  
Nareszcie macie wasz raj utracony,  
nareszcie macie wasz kłujący garnizon,  
nareszcie wasze widma powietrze, przebite  
całują na piasku ślad fokii,  
Nareszcie do waszych palców bez pierścienia  
przychodzi małe słońce wyżyny, dzień martwy  
drżący, w szpitalu kamieni i fal.

## ALMERIA

Danie dla biskupa, pokruszone i gorzkie danie,  
danie z resztek żelaza, z popiołu i lez,  
danie soczyste, ze szlochów, z rozwalonych ścian,  
danie dla biskupa, krwawe danie z Almeria.

Danie dla bankiera, danie z policzków  
dzieci szczęśliwego Południa, danie  
z detonacji, z szalonych wód, z ruin i grozy,  
danie z połamanymi osi i zdeptanych głów,  
czarne danie, krwawe danie z Almeria.

W każdy ranek, w każdy mętny ranek życia  
będziecie mieli je dymiące, gorące na stole:  
odepchniecie je zlekka waszymi miękimi dłońmi  
aby go nie widzieć, aby nie trawić na nowo.  
odepchniecie je z lekka, między chleb i winogrona,  
to danie z milczącej Irwi  
które będzie tam każego ranka, każdego  
ranka.

Danie dla pułkownika i pułkownikowej  
na święcie garnizonu, na każdym święcie,  
nad przekleństwami i pluciem. W jasnym świecie barwy wina,  
abyście widzieć je mogli drżące i zimne nad światem.

## ZNIEWAŻONE ZIEMIE

Krainy pogrzebane  
w nieskończonym męczeństwie, w nieprzerwanej  
ciszy, puls  
pszczoły i zdlawionej skały,  
ziemia co zamiast koniczyn i pszenic  
nosi znamie zbrodni i krwi.  
Bujna Galicja, czysta jak deszcz,  
posolona po wieczny czas łzami.  
Extremadura, na której sławnym brzegu  
z nieba i aluminium, czarne jak ślady kul,  
zdradzone, ranne, rozbite  
leży Badajoz, bez pamięci, między swymi martwymi synami,  
patrząc na niebo, co pamięta.  
Malaga orana przez śmierć  
i ściągana pomiędzy przepaście  
aż oszalała matka rozbijała  
swoje narodzone o kamienie.  
Furia, lot żaloby  
i śmierć i gniew,  
aż lzy i ból są zjednoczone.  
aż słowa i wściekłość i zwątpienie  
są już nie więcej niż garstka kości na drodze  
i kamieniem okrytym przez pył.

Tak wiele mogił, tak wiele męczeństwa, tak wiele  
galopu bestji na gwieździe!  
Nic, nawet zwycięstwo  
nie przekreśli tej straszliwej jamy z krwią.  
Nic, ani morze, ani przelot  
piasku i czasu, ani geranium płonące  
nad grobem.



Scena w lesie



Małta Siebnicka (Królowa Izabella) Olgierd Jacewicz (Król Ferdynand)



Scena zbiorowa z obrazu XII

TADEUSZ BREZA

## OWCZE ŹRÓDŁO

Pod koniec ubiegłego sezonu odbyło się w Warszawie zakończone konkursu szekspirowskiego. Wytypowany do pierwszej nagrody teatr katowicki Bronisława Dąbrowskiego odszedł z kwitkiem, pokonany przez „Teatr Wybrzeża” Iwona Gella i „Teatr Wojska Polskiego” Leona Schillera. Wkrótce po tych finałach nastąpiły przesunięcia: Dąbrowski objął teatry krakowskie. W ciągu jesieni i zimy pokazał kilka znakomych widowisk. Prasa miał świętą, frekwencję niezwykłą. Ale pamięć o przegranej nie dawała mu spokoju. Postanowił świat zadziwić.

Zamiejszczeni czytelnicy krakowskiego „Dziennika Polskiego” i „Dziennika Literackiego” od kilku tygodni dokładnie byli orientowani, że w połowie kwietnia zajdzie na deskach „Teatru im. Słowackiego” ewenement. „Dziennik” podawał reportaż z prób. Po ostatniej obserwacji, że „pocmat dramatycznie”, „Owce źródła” dzieło doświadczonej ręki naczelnego dyrektora Dąbrowskiego, wspaniała gra aktorów, doskonała wystawa dekoratorską i nieporównanym wysiłkiem wszystkich w teatrze wzbudził entuzjastyczny zachwyt zaproszonych na próbę gości. W środku widowni przy przyciśniętej lampie, reżyser Dąbrowski skrzętnie notował wrażenia, by je następnie przekazać tym wspaniałym postaciom na scenie. „Owce źródła” będzie najwspanialszym i najdoskonalszym wydarzeniem teatralnym w odrodzonej Polsce!

Miejsce wiodące nadto znalazł krzącająca plotka. Zarówno na temat magisterskich czynków przerażonych liczb milionów, które miała pochłonąć wystawa, jak i na temat innych czynników zampekających okazała cyfra micy, puklerzy i helmów, które kazał dla „Owczego źródła” kuć Pronaszko. Zawsze to bron! Zanim rozlepieno afisze, miasto znało na pamięć obsadę. Całe szczęście! Bo chociaż późniejsze afisze przedstawiały się imponująco, ich litery tłoczone złotem na tle bordo wypadły bardzo nieczytelnie. Ale nikt się w nich nie zamierzał rozczytywać. Dla ludzi w Krakowie znaczący był już też znowu jedno z wielkich widowisk gotowe. Jedno z tych, które dotąd wprawiało miasto w gorączkę. Trzeci z rzędu po „Synu marnotrawnym” i „Wieczorze Trzech Króli”. Po tym słynnym „Wieczorze”, słynnym z tego, że ścignął do teatru 75.000 osób. Co czwartego mieszkańca Krakowa!

Przyjechałem dziś. Obiad jem na mieście, zajrzałem do kilku sklepów, wstąpiłem na kawę, do pewnego biura. Wszędzie to samo: „Owce źródła”. Przy stoliku obok toczy się rozmowa; ekspedientka każe mi czekać, chcąc zatelefonować; urzędnik kiwa palcem do interesanta, który stoi w ogonku o dobre kilka osób za mną. Co u licha? „Owce źródła”. Mój sąsiad z kawiarni, ekspedientka urzędnik szukają sposobów, żeby się dostać na próbę generalną, albo jutro na prapremię. Czy też chociaż na niedzielę. — „Przecież będą to grać i grać!” — powiedziałam. — „No tak, ale człowiek jest ciekaw” — mówi ekspedientka. — Takie halo koło tego!”

Wieczorem zbliżam się do teatru. Dzisiaj z powodu próby generalnej przedstawienie zawieszono. Foyer ciemne, hall ciemny. Przed teatrem tłumy. Czeka ze dwieście osób. Różnych ludzi, którym ktoś z dyrekcji czy z zespołu obiecał, że ich wprowadzi na próbę. Stercza tutaj pełni nadziei, że wejdą na salę, kiedy się skończy zdjęcie. Wiedzą, na którą z odsłon teraz przyszedła kolej. — „Teraz fotografują ten feś Leszczyńskiego, który Rysiówna obnosi na kij!” Mijam ich. Pewnym krokiem zdążam ku wejściu dla aktorów. Przedzieram się przez sporą grupkę ludzi. Pukam, wyjaśniam, zupełnie bez skutku. Uprzytomniam portierowi, że jestem recenzentem. Nic z tego! Powiadam, że jestem zaproszony przez samego dyrektora Dąbrowskiego. Nie pomaga! Powołuję się na moją znajomość z innymi dyrektorami: Woźnikiem i Kramarskim. Nie pomaga! Gubię się, i zapewniam, że przychodzę z polecenia autora sztuki, tego Freya Lopego Feliksa de Vega Carpio z bordowego afisza.

Nie pomaga. Na szczęście dostrzega mnie tłumacz sztuki: Ludwik Hieronim Leliwa Mondenstern hrabia Morsztyn de Morstin. Pomaga. Wprowadza. Na scenie zdjęcie. Na widowni ze sto osób, którym już się udało wśliznąć. W godzinę potem na sali komplet. Siedzimy do pierwszej. Następnego dnia prapremiera. Po zakończeniu znowu grupki przed teatrem. Ludzie nie mogą się rozstać. Placem św. Ducha, Szpitalną, Piarską pojazdy posuwają się krok za krokiem. Widzowie doskakują sobie do oczu. Dzieła się i dziękują wrażeniami. Czyste Oberammergau!

Ja też się dziękuję. Należę do tych, którzy widownię przyjęli jako ewenement. Wykiłcam się o nie przez godzinę. I następnego dnia przez całe popołudnie. Wiedzę je nim, mimo wielu zastrzeżeń. Jeden z moich rozmówców — taki Chanteclair teatrów krakowskich, Chanteclair po kłapie, rozgoryczony, że sceny teatrów kręcą się i sztuki idą bez względu na to, czy on pieje z zachwytu czy się pieni — rzęca się na mnie: — „Przyznał się, że w spektaklu są błędy, a mimo to upierasz się, że jest wydarzeniem. Ty sobie urabiasz sąd o widowisku operując się nie tylko na tym, co widzisz na scenie i słyszysz ze sceny, ale również na tym, co widzisz i co słyszysz na mieście!” — Przyznałem mu rację. — „Rzeczywiście! Urabiam sobie”. — I gotów jestem wystąpić w obronie tego stanowiska.

Lope de Vega! Wielkie nazwisko! Któż nie słyszał? Ale kto czytał? U nas na scenie nikt żadnego de Vegi nie oglądał. Chyba że w Paryżu natknął się w teatrze na którego z jego arcydzieł albo w Moskwie, gdzie niedawno wystawiono właśnie to „Owce źródła”. Cóż za postać — jego autor Hiszpan, rówieśnik Szekspira, żołnierz, polityk, ojciec dzieciom, ślubnym i nieslubnym, przez ćwierć wieku ksiądz katolicki, autor osmiuset komedii i pięciuset dramatów, nie licząc dobrych kilku tysięcy utworów innych rodzajów. Pewną sztukę, którą za naszych dni Edward Boye tłumaczył przez całe lata, Vega machnął w ciągu trzech dni. Niezarywał się i zanim mu podano pierwsze śniadanie już gotów był z jednym aktem. Romaniszi zapewniali, że mimo tempa utwór jego nie traci na jakości. Ot, zatem poprostu był z niego taki stachanowiec pióra, który o kilkaset procent przekroczył normę zdawało być nie niewzruszalną, dla literatów. Wszystkie jego dzieła są, zgodnie z opinią znawców, genialne. Niemniej przeto gra się z nich za ledwie kilka. Nikt nie wie dokładnie, czemu akurat te a nie inne. Ale temu nie należy się dziwić. bo — jak słusznie powiada Morstin — „żaden człowiek, który ma jeszcze w życiu inne zajęcia, nie jest w stanie całości dorobku de Vegi przeczytać i krytycznie ocenić”.

„Owce źródła”, zdaniem de Vegi komedia bohaterska, jest utworem na pierwszy słuch niesłychanie naiwnym. Poza jego dziecinny frontonem, pełnym łatwin i niekonsekwencji, dopiero po wyjściu z teatru zaczynają się nam ukazywać perspektywy poważne i sceptyczne, ale Bóg jeden wie, czy na pewno wywoływane w nas silami samego autora. „Owce źródła” jest sztuką o skromnej wiosce, która ma okrutnego pana. Gwałci-cielka i intrYGanta, zabijając i komandora rycerskiego zakonu. W progu sztuki to on, komandor Ferdinand, skłania wielkiego mistrza zakonu, Don Rodriga, do buntowniczej wyprawy, idącej na rękę królowi Portugalii, a przeciw interesom króla Ferdynanda i królowej Izabelli. Wyprawa zrazu się udaje, ale potem nie. Komandor powraca do swojej wioski i to właśnie w dniu, kiedy cała wieś bawi się na weselu Laurencji i Frondosa. Laurencji, miejscowej panienki, która wielokrotnie odrzuciła zaloty komandora, i Frondosa, który pewnego dnia obronił swoją Laurencję przed komandorem, grożąc mu strzałą z łuku. Teraz widząc ich przy sobie, komandor z wściekłością rozpęta wesele. Laurencję porwają dla siebie, Frondosa skazuje na śmierć. Ale Laurencja się wy-

myka, podburza miasto, kto żyw pędzi zdobywać zamek komandora, mężczyźni w pierwszym szeregu, a kobiety swoją drogą pod wodzą Laurencji, na której komandor zdążył tylko poszarpać szaty. Komandor pada zabity, wraz z nim gną jego zausznicy, prócz jednego, który uchodził cało z obieży i udaje się na dwór. Na dwór portugalski? Nic podobnego! Na najbliższy dwór królewski, tak jakby na najbliższy posterunek milicji, na dwór Izabelli i Ferdynanda. Tu błaga o pomstę. Przecież chłopcy i mieszczanie zabili rycerza! Nic, że ten rycerz był buntownikiem, że był wasalem, który wojował przeciw królowej i królowi. To sprawa pomiędzy dworem a rycerzem. Ludowie zaś jest przykazane słuchoać swego bezpośredniego pana. W Owczym Źródle jawia się inkwizytor, aby przeprowadzić śledztwo. Wydaje na mękę trzysta osób. W końcu macha ręką na swoją robotę: — „Zawleżcie miasto! Nawet o dzieci dziesięcioletnich, które moi ludzie na próżno katują, nie można się prawdy dowiedzieć!” — Owce Źródło nie chce się przyznać kto zabił komandora! Za te zbrodnie wszyscy chcą odpowiadać razem. Ale ponieważ niepodobna wytracić całego pogłowia ludzkiego, zjeżdżają do miasteczka oboje królestwo i okazują Owczemu Źródłu łaskę. — „Ach, jacy oni piękni!” — woła ludność w uniesieniu. — „Niech żyją, żyją nam!” Mile tym ujęci monarchowie biorą gród pod swoją opiekę. I od tego dnia miasteczko ma pozostawać miasteczkiem królewskim. — „Póki się nie przekonam — powiada król Ferdynand — żeście się stali godni, bym wam dał nowego pana!” — I koniec!

Czy ten finał pisany był serio? Z całym namaszczaniem i pełnią wiary w królów, będących źródłem wszelkiej sprawiedliwości? Czy też po prostu wyrażał nastroje wszystkich tych wiosek prowincjonalnych i małych, dalekich miasteczek, ufnych od początku świata aż po dzień dzisiejszy w to, że na samej górze drabiny społecznej znajdują się ludzie sprawiedliwi i ludscy, a tylko pośrednie stopnie zajmują źli panowie i okrutni urzędnicy. A może Lope de Vega wprowadził koronowaną parę dla własnego bezpieczeństwa i dla bezpieczeństwa sztuki? Mordowanie przez ludność własnego pana musiało być na ówczesne stosunki sceną raczej śmiałą. Może dla jej osłodzenia Hiszpan doszukiwał swojej komedii taki prawnymyślny finał. Taki sam finał, jaki w tym identycznym celu przypisał „Świętoszkowi” Moliere. Ten słynny monolog oficera gwardii z V aktu, monolog, który współczesnym musiał się wydać szczytem wazelinarstwa. Ale wzmianka za który Moliere mógł wystawić swą sztukę. Może więc te same przyczyny leżą u źródła „owczych” wiatów de Vegi.

Ale że drażniący i najwinnie brzmią do pewne. Zwłaszcza, że następują bezpośrednio po scenie tortur. Świetnie napisanej. Bo w ogóle ten prerażający płodny Hiszpan sprzed czterysty lat, to autor wspaniałe dramaty. Szybki, nerwowy, przechodzący od sceny do sceny z błyskawiczną łatwością, jak stworzony dla współczesnych reżyserów, ze swoją żyłką do wielkich scen zbiorowych. Cóż to za kasek dla reżysera na przykład to obnoszenie przez ludność głowy zabitego komandora na lancy! Albo to wesele zakończone łapanką! Albo ten przy „dźwiękach ponurych” — jak zaznacza sam de Vega — pochód inkwizytorów, spowiedników w kapturach, katów, rakarzy, biczowników, podsądnych w dziwacznych sztach, w łańcuchach! Wszystko zgodnie z fantazją i podług życzeń de Vegi. Zdumiewającego swą wyobraźnią. Ale głównie czysto sceniczną. Sam tekst de Vegi jest skromny, ubogi w obrazy, refleksje. Miejscami nawet przez lakonizm śmieszny. Ale do swej roli informacyjnej dorasta. Jeżeli oczywiście pomyślany był jedynie jako niewielka ilość niezbędnych informacji stownych do niekończącego się cyklu ruchomych, wielobarwnych efektów.

W krakowskim ujęciu wypadły one osłepiająco. Na tle szlachetnych i powściągliwych dekoracji Pronaszki, Dąbrowski poruszał ma-

sami ludzkimi strojnymi w kostiumy bujne, krzyżące, przepiękne, bardzo papużie. Zdaniem jednych te jarmarki i pochody przypominały najpiękniejsze freski Benozza Gozzoli czy też słynne festyny ludowe Breughla. Zdaniem innych miały w sobie coś z Matejki i coś z kolorowo ilustrowanych katalogów firm rolniczych. Istotnie kolor tu siedział na kolorze. W takim ścisłu, w takiej sile, że oszalał. Na niektóre szczegóły, kostiumy czy chorągwie, zdołałem zwrócić uwagę osobno. Jeden z tych szczegółów był piękniejszy od drugiego. Na to gotów jestem przysiąc. Przystęgać na całość byłoby mi trudniej. Nie dlatego, że to rzecz gustu, ale dlatego, że to sprawa po prostu pewnej chłonności. Jej granic. Mnie po tej barwnej ofensywie oczy stały słupem. Mimo, że podziwiałem upor i konsekwencję, z jaką Pronaszko przeprowadzał na scenie swoją wizję średniowiecznej Hiszpanii! Za pierwszym razem stanowiąc to wiza przetrasta zdolności odbiorcze przeciętne człowieka. Nie widzę jednak najmniejszego artystycznego powodu, dla którego taki człowiek miałby sobie odmówić przyjemności powrócenia na to widowisko raz i drugi. Ja ze swej strony właśnie tak zrobiłem.

Dla Pronaszki. I dlatego również, aby móc ocenić ogrom pracy dokonanej przez zespół, przez reżyserię i przez p. Marynę Broniewską, która dorobiła do widowiska tańce i różne mimiczne wstawki pomiędzy jedną odsłoną a drugą. Sama reżyserjskie założenie spektaklu było proste: skonfrontowanie dwu światów. Średniowiecznych, ponurych, zakutych w bladej rycerzy i wesołych, naturalnych, kolorowych zwykłych ludzi, mieszkańców wsi i miasteczek. W tych ludzi wciela się kolor i ruch, i to w ogromnych ilościach. W mężczyzn i w kobiety i w dzieci, w nieznaną polskim scenom mnogość. Poruszanie, dzielenie, łączenie tłumów w naturalne grupy zaabsorbowało tym razem całą uwagę reżysera. Włosy się jeża na myśl o trudzie włożonym w sceny zbiorowe. Z ciągłą troską o to, żeby wypadły żywo, a zarazem żeby się nie rozprzężyły na fragmenty równoległe w czasie. W tych scenach reżyseria odniosła pełne zwycięstwo. W scenie wesela, w scenie pochodu inkwizytorów oraz w scenie ze ściętą głową komandora. Tu wspomnieć należy o muzyce Witolda Krzemińskiego. Mogę tylko osądzić ją pod kątem jej walorów ilustracyjnych. Znakomitych! Natomiast występujące na tle posilko-woje kurtyny intermedia, łączące poszczególne odsłony, wzbudziły we mnie nieufność. Były konieczne: przez czas ich trwania zmieniano dekorację. Jedne intermedia były mówione, inne śpiewane, jeszcze inne mimiczne. Tekst niektórych piosenek powtarzał się raz w trakcie intermedium, drugi raz po podniesieniu kurtyny, w zanadto bezbronny sposób zdradzając, że za pierwszym razem szło tylko o względy techniczne. Inne intermedium, to podczas którego rycerze zbrojni na zgitych kolanach udawali, że jadą na koniach, miało w sobie coś niezamierzenie zabawnego. Zato następne, to z pawana przepiękne. Szkoda, że wszystkie nie miały jakiegoś elementu jednoczącego. Wtenczas słabsze podciągałyby mocniejsze. A tak sprawiły wrażenie czegoś w ostatniej chwili improwizowanego.

Afisz zawiera ze trzydzieści nazwisk. Taka obsada! Kogóż wymienić, gdy wszystkim by się należało choćby po słówku. Co najmniej! Więc Zofii Rysiównie, świetnej w scenie nauczki dawanej swemu kochankowi, w scenach z komandorem, a zwłaszcza w kapitalnej scenie zwolnienia pod jeden sztandar wszystkich kobiet Owczego źródła, pod ten „rewolucyjny krwawy sztandar”. (Patrzcie go, jaki on czerwony, ten de Vega! A może to Morstin?) Więc Marcie Stebnickiej, prześlicznej królowej Izabelli, więc Aleksandrze Słaskiej, rewelacyjnej Paschali. A z panów najlepszemu ze wszystkich Opalińskiemu, szczerze komicznemu, wruszającemu, który sam jeden na swoich barkach (przy pewnej pomocy ze strony Fuidego i przy minimalnej pomocy ze strony tekstu) utrzymywał równowagę pomiędzy elemen-

tami dramatycznymi i elementami rozśmieszającymi tej sztuki. Tadeuszowi Lomnickiemu, który malutką rólką wielkiego mistrza Calatrawy przypomniał nam, że możemy się po nim spodziewać najwyższych osiągnięć. Ileż jeszcze nazwisk pcha się pod pióro: Jacewicz, Sheybal, Stodulski, Surowa Szymański. Afisz zdobi ponad to ze wszystkich najszacowniejsze imię Jerzego Leszczyńskiego. Komandora. Doskonalego. Tyle, że z zupełnie innej sztuki: z Baluckiego, z Fredry, z Blińskiego. Jakiegoś szlachona, Raptusiewicz. Bez pychy, okrucieństwa, siły i amoralności, których wcieleniu winien być w sztuce Don Fernand Gomez.

A przykład? Ze sceny brzmi ładnie. Miejscami nawet doskonale. Ale zwłaszcza w lekturze utrapieniem są jego na szczęście nieliczne rozsiarne słówka i powiedzenia tak dzisiejsze, że człowiek nie wierzy, by mógł paść z ust ludzi z piętnastego wieku. Niekiedy także wymknie się Morstinowi spod pióra ustępek, który ma w sobie jakąś wiscomia wbrew intencjom autora, tłumacza i wbrew interesom chwili. Myślę na przykład o tym czterowersu, który pada z ust komandora podczas napaści na samotną Laurencję:

— „A teraz mi wszystko jedno, kładę na ziemi tę kuszę i wierząc w siłę mej ręki miłość na tobie wymuszę!”

Lecz Morstin ma również swoje miejsca brzmiące porównawczo. Pełne radosnego impetu, na którym zasada się urok „Słubów” czy „Zemsty”:

W kaftanie wyszytym złotem, dowódcy dzierząc banderę mistrz wyjechał przed szeregi, wspaniały miłośnik od deresz, który jako młody żrebiec niedaleko morskich wiorów wodę pił z Gwadalkiwiru i na żyznej past się glebie.

Czy to nie Papkin mógłby w ten sposób opiewać swego konia? Albo w następujących słowach dwuznacznych składać hołd swemu zwycięskiemu dowódcy:

Wielki mistrz był twierdzą panem, potrafił zadaniu sprostać: przywódcóm tby poucinał a innych kazał wychostać.”

3

Czy z tego wszystkiego wynika, że „Owce źródła” nie było wydarzeniem i ewenementem? Ze się nie udało przez brak równowagi między wątlm tekstem i przerozaniem Pronaszki? Ze udałoby się lepiej, gdyby je potraktować nie tylko jako kanwę do pięknych obrazów, ale również jako kanwę do chórów, śpiewów i tańców. A to z tego względu, że same efekty plastyczne pomnożone znowu przez efekty plastyczne dały w sumie przeciągnięty efekt. Może? Może doprawdy „Owce źródła” to może końcówka tylko libretto! A jednak pomimo takich zastrzeżeń spektakl krakowski był zjawiskiem teatralnym wielkiej wagi. Był wydarzeniem co się zowie.

Przed wszystkim przez kapitalny wkład ambicji. Przez włożony wysiłek i przez sumę ryzyka. Dzisiaj po tym widowisku wiemy to i owo o wartościach i brakach tego de Vegi, ale w momencie kiedy teatr krakowski decydował się na przedstawienie go polskiej publiczności, grał w ciemno, tak jak zawsze gra się w ciemno, doprowadzając do zetknięcia pomiędzy publicznością o wyrobionych gustach i całkiem nowym dla niej zjawiskiem, chociażby to zjawisko miało już na świecie ustaloną markę. Nowy przekład rymowany jest dzisiaj też zamierzaniem równie ambitnym jak ryzykownym. Niepodobna przewidzieć jak dla naszych uszu zabrzmiał, mimo że będzie miał wszystkie walory artystyczne i formalne. A pozostałe elementy widowiska? Przejdźmy je w myśl. Ambitnie są. Charakteryzuje je wszystkie, od pierwszego



Lope de Vega

do ostatniego, najwyższy poziom ambicji. Niezależnie od poszczególnych wyników. Zatem na pytanie, czy ten spektakl Dąbrowskiego jest „najdoskonalszym i najwspanialszym osiągnięciem teatru w odrodzonej Polsce”, musiałbym odpowiedzieć negatywnie. Natomiast był na pewno najciekawszym i najbardziej widowiskowym wydarzeniem teatralnym bieżącego sezonu. W grze o najwyższy poziom współczesnego teatru było mocnym podbięciem stawki.

Tyle na temat teatru, a teraz poróćmy do miasta, do tego miasta, któremu przylądam się i przystępuję na przekór opinii wspomnianego wyżej Chanteclaira, wyznawcy opinii, że o teatrze sędzić należy jedynie podług teatru, a nie podług tego jak się do niego ustosunkuje miasto. Ono zaś się ustosunkowało do niego jak najgoręcej. I to jest może najciekawszy punkt zagadnienia, które by można nazwać zagadnieniem teatru Dąbrowskiego!

Od pierwszych dni nowej ery teatralnej w odrodzonej Polsce, osoby związane z teatrem próbowały rozwiązać następującą łamigłówkę: jak sklonić do chodzenia do teatru ludzi, którzy do teatru dotąd nie chodzili? Nigdy! Jak ich więc namówić na skosztowanie Specjalnymi przedstawieniami? Zamkniętymi? Przeznaczonymi wyłącznie dla nowej publiczności: robotniczej, rzemieślniczej, wiejskiej? Jak ją sklonić? Specjalnym repertuarem? Klasycznym? Stosowanym? To zagadnienie wentyliowano po pismach, na konferencjach, na zebraniach. Wydaje mi się, że jeden z nielicznych ludzi, który to zagadnienie praktycznie rozwiązał jest Dąbrowski. Za pomocą jakiegoś chwytu? Za pomocą temperatury w jakiej pracuje jego teatr. Ten teatr nładowany elektrycznością, ten teatr, który przede wszystkim zwraca uwagę tym, że mu o coś chodzi. To teatr gorący. I z pewnością właśnie ta jego temperatura sprawiła, że budził on zaciekawienie. Nie tylko widzów nawykłych do chodzenia, ale nawet wśród takich, którzy dotąd do teatru n'e chodzili. I da bo słyszą, że przedstawienie jest nadzwyczajne. Na zwyciężaję by się nie pofatygowali, bo to nie jest w ich zwyczajach, ale zrobiłby w swoim obywatelstwa dla nadzwyczajnego. I jest szansa, że przy tym wyłomie zostanie. Rozmawiałem z takimi. Byłem ciekaw przyczyn ich pierwszego kroku. Odpowiadali, że zdecydowali się pójść, ponieważ ludzie tyle o tym mówią. Wspominałem już wyżej o czym. Na przykład o „Wieczorze Trzech Króli”. O tym „Wieczorze”, który ścignął do teatru jedną czwartą ludności Krakowa! Dlaczego? Przepytywałem z dziesiątek nowicjuszy teatralnych na ten temat. Dla wspaniałości, bogactwa, kolorów. To sa w każdym spektaklu elementy dla nowicjusza znacznie łatwiejsze niż słowo. Niżej: konflikty, postaci, wpędki charakterizowane i notowane na scenie przy pomocy wielu sposobów umownych, w których nowicjusz się gubi. Nie gubi się natomiast w barwach, strojach, w wielkich scenach o znaczeniu wyrazistym, jednoznacznym. Teatr Dąbrowskiego o takie sceny się ubiega. Szuka widowisk Recenzentki znajdują w nich błędy Nowicjusze znajdują w nich nareszcie dostateczny powód, żeby się na teatr zdecydować.

Tadeusz Breza

EFFENDI KAPIJEW

przełożył JERZY POMIANKOWSKI

POWOŁANIE POETY<sup>1)</sup>

Do domu wróciłem zasromany.  
— O słowiku, to każdy potrafi —  
powiedziałem cicho żonie i wza-  
wszy do rąk masz bębna, własną  
papachę, po raz pierwszy w życiu,  
zaczętem układać wiersze:

Wciąż jeszcze śpiewasz  
w gwiazdnym chórze  
Słowiku, Kochający różę?  
Czy znasz ludzkiego serca burzę  
Tęsknotę ludzką, ludzką troskę?  
Chropawą ostrość ludzkiej mowy  
I smutek — co już nóż stalowy?  
Duszy mej dokoła krzyk surowy  
Ustyszysz, słowiku, ptaku  
szczęsny!

Oto słowa pierwsze mojej pie-  
śni, ułożonej pod koniec tego dn.a.  
Zarecytowalem ją przyjaciołom, ale  
ci nie uwierzyli.

— Wiele pieśni o słowikach jest  
na świecie — powiedział. Gdzieś  
to usłyszał Sulejmanie? Ta pieśń  
nam się podoba.

— To moja pieśń — rzekłem.  
— Czy aby nie traciśz rozumu,  
jak twój ojciec? — odpowiedziano  
mi.

— Mogłbym ułożyć lepszą pieśń,  
o samym sobie, ale mało dobrego  
jest w moim życiu — powiedziałem  
przyjaciołom. — Niech będzie nie  
słowik, a pies. Jeśli mi nie wierzy-  
cie, to ułożę wam pieśń o psie.

— Dobrze — odrzekli przyjaciele  
— w takim razie ułożę no pio-  
senkę o naszym wójcie, a potem  
my ci jeszcze ze czterdzieści in-  
nych podpowiemy...

Tak stopniowo wciągałem się do  
moich nowych zajęć. Przyjaciele  
mnie byli po większej części bez-  
rolnymi najmitami. Całymi latami  
harowali na sztybach naftowych w  
Baku i zrządka tylko przyjeżdżali  
na lato do auzu. Dlatego też widzieli  
wszystko ostrzej i głębiej niż ja.  
Ludzie ci byli już niemal robotni-  
kami z prawdziwego zdarzenia.  
Wdzięczny jestem tym najlepszym  
z ludzi, oni bowiem otworzyli mi  
oczy.

— Świat — mówili mi — to ze-  
psuta waga. Uważaj, Sulejmanie,  
nie daj się zwieść. Na wadze tej  
i we dnie i w nocy oszukują na-  
szego brata; czasem chodzi o ka-  
walek chleba, kiedy indziej —  
o całe życie. Bądź śmielszy, miej  
oko na wszystkie odważniki...

Pieśni moje zwykłem był ukła-  
dać w polu, podczas pracy. Wra-  
cając przed wieczorem do auzu,  
przyglądałem się do przyjaciół i re-  
cytowałem im to, co mi się za-  
mknęło. Nawet nie zauważy-  
łem, jak pieśni moje zaczęły po-  
wtarzać w aule. Sam ich nie śpie-  
wałem i nie zapisywałem. Nowe  
moje życie — jak się okazało —  
było trudne i niespokojne. Zaczęło  
mi ono przysparzać sporo trosk  
i nie wiele dawało radości.

Pewnego razu, wycieczając o-  
podal źródła, gawędziłem o po-  
wzednich naszych sprawach. Mu-  
ła, przechodząca obok, zatrzymała się  
tu dla modlitwy, a potem z gwał-  
towności, wtrącił się do rozmowy.  
Właśnie gorzko mi było na duszy  
dnia tego skazał mego znajomego  
starego ogrodnika, skazał za długi  
syna jego, tydzień temu zabitego  
z zemsty<sup>2)</sup>. Ułożyłem pieśń

<sup>1)</sup> vendetta, niemniej powszechna  
na Kaukazie, niż na Korsyce.

i zaśpiewałem ją głośno. Mułta roz-  
wścieczył się, pchnął mię kosturem  
w pierś i jął krzyżeć:

— Kto to słyszał, by jacyś krzy-  
kaczki uczyli carskich sędziów?  
Chwycicie parszywy! Twoja rzecz —  
to wisieć z tyłu, a myśleć za cie-  
bie, dzięki Bogu, kazano głowie.  
A możeś widział gdzieś, żeby kto  
chodził tyłem do przodu?

Zerwałem się, to mnie zabolalo.  
— Ciekawe, — powiedziałem, —  
czy takie ręce rosną przy og-  
nie? — I, biorąc mułtę za barki,  
zlekka podniosłem go nad źródłem.  
Towarzysze moi roześmiali się  
i — tym, zdaje się zepsuli wszy-  
stko. Mułta zbieł cały i pobiegł  
do auzu. Przyszedł po mnie wójt.  
Zabrali mnie do kancelarii, pod-  
dali badaniu i posadzili do więzie-  
nia. Zjawili się jednak przyjaciele.  
Ci przysięgli na Koran, że to po-  
 prostu omyłka, że niby Sulejman  
zupełnie nie w złości pokazał siłę  
swoich rąk. Wypuścili mnie, prze-  
strzegając jak najsurowiej, bym  
nigdy więcej nie układał „brud-  
nych“ pieśni. Obiecałem.

Cóż miałem teraz począć? Prawd-  
a — niedozwolona, a nieprawdy  
pieśń nie znieś.

Po tym wypadku przez kilka  
lat nie zwierzałem się nikomu  
z nowych pieśni, ponieważ nie  
chciałem narażać swoich oczu...

Zył niedgdy u nas, w górach  
Kiurinu samowładny chan Mursal.  
Miał przy sobie poetę — biednego  
aszuga, Saída z Koczory. Sława  
Saída rozniosła się daleko, a chan  
nie lubił, by kogokolwiek prócz  
niego chwalono. Nudziło mu się.  
Rozkazał wezwać aszuga.

— Śpiewaj! — powiedział chan,  
który miał 8 żon i któremu przy-  
krzyło się na świecie.

Said zaśpiewał.  
— Zdaje mi się, że nieźle śpie-  
wałeś — powiedział chan. — Wi-  
dać, że mistrz z ciebie, ale dia-  
ciecho spojrzeń twoje takie jest  
czuchwałe? Przecież są tu moje zo-  
ny... — i kazał wylupić oczy asz-  
ugowi.

Słyszałem o tym niejednokrotnie  
i dobrze to sobie zapamiętałem.  
Dlatego też postanowiłem nie na-  
rażać swoich oczu.

Jednokowóz poeta — jeśli tylko  
nie umarł jeszcze — milczeć nie  
potrafił.  
Niezależnie od jego woli, będzie  
go smuciło wszystko, co złe, a ra-  
dowało — wszystko dobre i nie u-  
da mu się pieśń swojej ukryć przed  
światem, zachować dla siebie. Poe-  
ta — to drzewo orzechowe. Do-  
póty, dopóki na szczycie jego wisi  
jeszcze choćby jeden orzeszek, lu-  
dzie nie przestają ciskać węł pał-  
kami.

Pewnego razu wybrałem się do  
miasta, szukając roboty.  
Ludzie słyszeli już wówczas o  
mnie, jako o poecie i wedrowcy,  
przechodzący przez auz, często py-  
tali o Suleimana.

W Derbenicie, po całodziennych  
poszukiwaniach pracy, zanocowa-  
łem w karawan-seraju.  
Byłem wyczerpany i spałem na  
podłodze. Nagle słyszę przez sen:  
ktoś nuci moją pieśń Gorąco mi  
się zrobiło przy sercu. Po raz  
pierwszy poczułem wtedy, jak ży-

podchodzą mi do gardła i jak du-  
szy robi się ciasno...

Obok mnie w ogólnej sali spało  
mnóstwo, takich samych jak ja.  
biedaków. Byli wśród nich także  
leżgini. I oto słyszę przez sen,  
jak pieśń moją zaczyna zagłaszać  
inna, bardzo krzykliwa i zupełnie  
nieodpowiednia. To śpiewał dala-  
dar<sup>3)</sup>. Rozpoczął spór ze słuchacz-  
mi-nędzarcami, twierdząc, że jest  
aszugiem i domagając się od nich  
w dowód uznania po ćwierci aba-  
za<sup>4)</sup>. Ci płacili nie chcieli; dala-  
dar upierał się. Wówczas podnio-  
słem się z ziemi.

— Hej, zuch! — powiedział-  
łem. — Czy śpiewasz własne pie-  
śni, czy tak sobie, powtarzasz cu-  
dze?

<sup>3)</sup> dalandar — dzierzawca albo  
rządca karawanu seraju.  
<sup>4)</sup> abaz — od imienia szacha  
Abbasa — drobna moneta = 20  
kopiętkom.

## W obronie poety Pablo Nerudy

Komitet złożony z 102 pisarzy  
i artystów Stanów Zjednoczonych  
rozesłał do prasy amerykańskiej  
5 kwietnia r. b. tekst następującej  
odezwy, która została skierowana  
do rządu chilijskiego:

Senor Gonzalez Videla  
President of Chile  
Santiago de Chile.

Ostatnio dzienniki podały małą  
wzmiankę o tym iż został wydany  
nakaz aresztowania senatora Pa-  
blo Nerudy, poety chilijskiego  
o światowej sławie, za krytykowa-  
nie rządu Chile za granicą. Sądy  
chilijskie pozbawiły go immuni-  
tetu parlamentarnego, aby wyto-  
czyć mu proces.

Jak rozumiemy, podstawą do tej  
akcji był list, który Pablo Neruda  
rozesłał do swoich przyjaciół na  
terenie obu Ameryk, przedstawia-  
jąc w nim wewnętrzną sytuację  
w Chile — czyniąc to na przekór  
żelaznej cenzurze w tym kraju  
Pablo Neruda oskarża Prezydenta  
Chile, który został wybrany na  
ten urząd jako anty-faszysta przy  
olbrzymim poparciu głosów ludo-  
wych, o zdradzie ludu chilijskiego  
na rzecz garstki feudalnych wła-  
ścicieli ziemskich i yanckich im-  
perialistów. Podaje fakty i cytury  
dotyczące zniesienia wolności cy-  
wilnych, zniszczenia związków za-  
wodowych, niewolnictwa pracy  
wskutek wprowadzenia ustawy,  
która w praktyce równa się prawu  
wojennemu, utworzenia obozów  
koncentracyjnych dla więźniów po-  
litycznych i włączenia do rządu  
oraz do administracji policyjnej  
wybitnych nazistów, niegdys dzia-  
jących w Niemczech.

Jedynym celem Pablo Nerudy  
przy pisaniu tego listu było ostrzeżenie  
reszty Ameryk o roli, jaka kazano  
grać Chile, teraz, gdy próbuje się  
obrócić Amerykę Łacińską w no-  
wą twierdzę faszystmu.  
Senator Pablo Neruda nie jest  
jedynym politycznym przywódcą,

który został aresztowany. Inni  
członkowie parlamentu burmistrz  
miast, wybitni intelektualści, przy-  
wódcy związków zawodowych, sa-  
wienzi, torturowani i wysyłani do  
obozów koncentracyjnych. Zony  
działaczy związków zawodowych są  
uznane za ukryte hanba, a ich  
dzieci są torturowane, aby zmusić  
je do wyjawienia miejsca pobytu  
ich ojców. By przypodobać się Fran-  
co, aresztuje się uchodźców hisz-  
pańskich, którym przyjazny rząd  
zagwarantował uprzednio prawo  
azyłu, a dzieje się to na rozkaz  
prezydenta, który stał niegdys na  
czele Chilijskiego Związku Anty-  
Frankistowskiego.

List Nerudy, wymowny i przera-  
żający, jest w naszym posiadaniu  
i jest rozpowszechniany.

Mamy nadzieję, iż głos amery-  
kańskich artystów i pisarzy ma  
jeszcze dostateczną wagę w Po-  
łudniowej Ameryce, aby wpłynąć  
na rząd chilijski. Łączymy się  
więc w proteście przeciwko prze-  
śladowaniu Pablo Nerudy i nale-  
gamy na natychmiastowe przywró-  
cenie mu jego praw cywilnych  
i politycznych.

Następują 102 podpisy. M. in. są  
to następujące nazwiska: znana  
pissarka Dorothy Parker, wybitni  
krytycy i autorzy antologii, Louis  
Untermeyer i Mark Van Doren,  
najwybitniejszy poeta amerykański  
młodego pokolenia Karl Shapiro,  
znani poeci i poetki: Marianne  
Moore, Conrad Aiken, William  
Rose Benet, Muriel Rukeyser, słyn-  
ny rzeźbiarz J. Davidson (pracu-  
jący obecnie nad pomnikiem ku  
czci obrońców gheta warszawskie-  
go), autor popularnych w Ameryce  
książek z zakresu historii literatury  
amerykańskiej Van Wyck Brooks,  
znany pisarz pochodzenia jugsłow-  
wiańskiego Louis Adamic, oraz  
Martha Ostensó której „Krzyk dzik-  
kich gęsi“ cieszył się przed wojną  
w Polsce dużą popularnością.

<sup>1)</sup> mowa o rewolucji lutowej  
1917 r., kierowanej przez Kiereń-  
skiego.

<sup>2)</sup> partia kaukaskich nacjonal-  
istów.

<sup>3)</sup> To idę zakładać do sanek...  
<sup>4)</sup> No widzi pani — zatrzymował  
sędzia — trzeba tylko pozwolić,  
żeby sam do tego doszedł!

Drzwi uderzyły Jana w wycią-  
gniętą rękę, do pokoju wsunęła się  
Wacława. Była w wiskowym szla-  
froku i pantofelkach obzitych kro-  
liczym futerkiem.

— O przepraszam — zawołała —  
najmocniej przepraszam! Dowie-  
działam się w tej chwili że pani  
jedzie... Błagam panią, panio Łu-  
cjo, niech mi pani odwróci do za-  
łapania oczek... Może być odcie-  
pić... Ze wszystkim trzeba się li-  
czyć. Moja kochana, tu jest kwit  
a tu pieniądze, jakby brakło niech  
pani ze swoich doda!

Sędzia spojrzął na Łucję zna-  
czącego Wacława udatą, że tego nie  
widzi.

— Pani pewnie będzie załapana,  
wystarczy tylko Jana dopińować.

— Jak już mamy jechać, to ty-  
ko nocą... Bezpieczniej, Wermacht  
przepuści...  
— Dziękuję panu! Napewno prze-  
jedziemy, im wcześniej tym lepiej.

— Jak już mamy jechać, to ty-  
ko nocą... Bezpieczniej, Wermacht  
przepuści...  
— Dziękuję panu! Napewno prze-  
jedziemy, im wcześniej tym lepiej.

— Własne.  
— No to zaśpiewaj, bądź tak do-  
bry, o tym karawan-seraju i o nas,  
nieszczęśliwych.

Dalandar pograżył się w zadu-  
mie. Poczekaliśmy dłuższą chwilę i —  
nie mogąc się powstrzymać — za-  
cząłem po swojemu. W karawan-  
seraju zrobiło się cicho, jak w le-  
sie. Nie pamiętam, o czym śpie-  
wałem.

Chyba o moim Bagdadzie, nie-  
odnanym, nieodkrytym, nie-  
wiadomym... Gdzieś, Bagdadzie,  
kraju szczęśliwy!

Calusienką noc układałem pie-  
śni, rano zaś dalandar zdjął prze-  
de mną swoją papachę i odmówił  
przyjęcia zapłaty za nocleg.  
— Karawana odejźcie, a ka-  
rawan-seraj zostanie się — w pieśni  
twojej była prawda: ja płacę za  
ciebie!

... Innym razem przyszli do mnie  
przyjaciele, którzy dopiero co wró-  
cili z Baku. Przynieśli mi smutną  
saki.

— Nie strząśaj ze siebie brud-  
nych bryzg, psie parszywy. Nie  
szargaj godności poety, bo widzę  
już, jak głowa twoja toczy się na  
kształt bębna na weselisku moich  
przyjaciół!

Tak — od przypadku do przy-  
padku — układałem pieśni podob-  
nie, jak gorące, parzące język ja-  
dko, lęka się ostrożnie, po kawalku.

Minęło 5 lat. I oto słyszę pewnej  
nocy, że cara zrzucili z tronu, że  
wszyscy są teraz równi, że na-  
deszła wolność!

— Jakaż to wolność? — pomy-  
ślałem. W sądach siedzą ci sami  
sędziowie, bogacze dalej panują  
nad nami, — szczególna wolność!

— Ale później zawirował czas, zawi-  
rował wiatr.

To cudzoziemcy, to biatogwardzi-  
ści, to bieczerowcy<sup>2)</sup>. To znów  
aławerdyści pojawiali się po kolei.

Kto ich tak ponazywał, kto ich  
wymyślił?

W tych czasach nie jeszcze nie  
wiedziałem o bolszewikach, chociaż  
serce moje przezuwało, że winien  
przysięść ktoś, wyczekiwany przez  
lud, kto cały ten jarmark roz-  
pedził (skąd też wzięli się ci  
ludzie, zwani bolszewikami, kto ich  
stworzył — o ludzi!)

Pewnego razu przyszli do Jeni-  
kentu cudzoziemcy i rozstrzelali  
3 mieszkańców naszego auzu. Za  
co? Okazało się, że byli bolszewi-  
kami i szli nam na pomoc.

„Oto, — pomyślałem — ziemia  
jest nasza, góry — są nasze, lu-  
dzie, których wieszka się i zabija,  
też nasz... Cóż to takiego? Znaczą  
się — bolszewicy — to my sami  
a rządzą się tu obcy?”

<sup>1)</sup> mowa o rewolucji lutowej  
1917 r., kierowanej przez Kiereń-  
skiego.

<sup>2)</sup> partia kaukaskich nacjonal-  
istów.

WOJCIECH ŻUKROWSKI

rysunki JULIUSZA KRAJEWSKIEGO

Ręka ojca<sup>4)</sup>

W korytarzu była odrębna, przy-  
czajona cisza, jakby ktoś wraz z  
nim nadstuchiwał, wstrzymawszy  
oddech. Grube podmurwanie z  
ciosowego kamienia tłumilo odgłosy  
dalekiej kanonady, załedwie gdy  
przechodził koło okienek mruca-  
ły zlekka działa, ale gdyby nie pa-  
miętał o zaczętej ofensywie, wziął-  
by to za odgłos swych stapan.

Dzieci oczekiwały chwili. Potem  
Teklunia pochwytiła Włodzka Ani-  
serewicza za luźno zwisający ko-  
niec rekawa i pobełgi schodami  
na piętro. Poruszał się bezzwle-  
stnie, byli tylko w północach.  
Czasem skrzypnęła deska w pod-  
łodze i dźwięknęła oblużowana  
klamka.

— Czekaj, nie możemy się tak  
pchać — szepnęła dziewczynka —  
muszę posuchać!

Zajrzała przez dziurkę.  
— Ciemno! Nie ma jej jeszcze!  
Drzwi zapiszczały żalostnie. Wsu-  
nęli się do pokoju kucharki Pach-  
niało tu nagrzana pierzyna, kotem  
i jabłkami.

— Zapal — powiedział Włodzio —  
przecież musimy się gdzieś scho-  
wać! No przedź!

— Dobrze ci krzyżeć jak ja nie  
mam pudełka, tylko same zapalki.  
— Podeszła do pieca, przykucnęła  
i przyłożyła zapalkę do rozgrza-  
nych drzewce, zapaliła się wresz-  
cie. W jej płomyku jak w puszy-  
stej grocie, ukazał się piegowaty  
szczyrzy pyszczek Tekluni. Podnio-  
sła zapalkę. Zobaczyli łóżko, spie-  
trzone poduchy, obok krzesło, na  
nim zapalki.

— Bierz je! — trącił ją chłopiec.  
Schowała do kieszonek. Dalej była  
szafa niska nad skarpą wieży,  
okno zastonięte, pod nim kufer, a  
w kącie wisiały letni płaszcz i no-  
wa baranica furmana.

— Zgaś! Idzie zdaje się... — po-  
machał końcem rekawa dławiąc  
płomyk. Wsunęli się, za kufer i  
okryli nisko zwisającym kożu-  
chem. Nadstuchiwali. Kroki zbli-  
żały się, rosły, potem minęły drzwi  
i zcichły.

— To nie ona... Chodź tu bliżej —  
upchnęła go sobie pod ramię. —  
— Dobrze ci?

Nie śmiał się przyznać, że mu  
niewygodnie.

— Dobrze — powiedział i pokrę-  
cił głową twardy warkoczek Tekli  
wysłał mu się do ucha jak sprę-  
żysty ogonek. — Zupenie mi do-  
brze. Teraz tylko musimy cichutko  
czekać aż zaśnie, jeżeli chcesz zo-  
baczyć jak z niej wychodzi...

— Doskonale pojmuję pani in-  
tencję, ale nie mogę w tym wy-  
padku po prostu kazać mu jechać  
— mówił półgłosem Nahorayski  
chodząc nerwowo po pokoju. Jan  
stał przy drzwiach Kominiek oś-  
wiecił różowo jego buty o zmie-  
kłej cholewie. Krople stopionego  
śniegu świeciły na nich jak iskry.  
W lewej ręce krył fajkę.

— Ostatecznie to kwestia paru  
godzin, — spojrzął na zegarek, —  
Już o piątej decyzja będzie ode  
mnie zależała, ale jeśli się pani u-  
miera... Ja nie robię przeszkód!  
Konie są do pani dyspozycji. Ja-  
kieś pozory prawa obowiązują je-  
szcze, ale i to może się rozsy-  
pać, tak z godziny na godzinę... On nie  
ma nocej przepustki.

Łucja siedziała w mroku, tylko  
ręce jej białeły na kolanach. Była  
zgarbiona jak człowiek, który przy-  
siadł z ciężarem, by odpocząć chwi-  
lę i nabrać sił do dalszej drogi. Ro-  
zumiała odpowiedzialność. Jechać,  
czy zaccakać do rana. Meczyla się

on odbierze, to nie jest żadna sztu-  
ka.

Jan stał chwilę czekając, czy się  
do niego nie zwróci, dopiero na  
znak sędziego wyszedł pośpiesznie

nowinę: na sztybach naftowych był  
strajk, który źle się skończył i przy-  
jaciele moi zostali zwolnieni jako  
podżegacze.

Przyjaciele byli markotni. Co  
najważniejsza — do auzu dotarła  
obelżywa pieśń o nich. „Tanczcie  
teraz — śpiewało się w niej —  
przystrojcie sobie głowy bębna-  
kami, niech sprzedadzą tam wasze  
materace i poduszki, bowiem na  
co wam taki zbytek, osły prze-  
pedzone kijami z ogrodu“.

Wiersze te ułożył niejaki Hadzi,  
który pracował podówczas na szty-  
bach razem z moimi towarzyszami,  
ale nie został zwolniony z  
pracy, ponieważ zawsze brał stron-  
nie właściciela. Nikczemnik!

Czy mogłem zachować obojętność  
wobec takiej sprawy? Nie, póki  
żyłem!

Cały dzień brodziłem, nie mogąc  
znaleźć sobie miejsca. Ułożyłem  
jednak odpowiedź i zaśpiewałem  
ją wszem wobec z dachu mojej  
saki.

Przyjaciele spisali słowa pieśni  
i posłali je w koperce do Baku,  
na imię owego nikczemnika. Jak  
dziś pamiętam, że zaczynała się  
tak:

„Nie strząśaj ze siebie brud-  
nych bryzg, psie parszywy. Nie  
szargaj godności poety, bo widzę  
już, jak głowa twoja toczy się na  
kształt bębna na weselisku moich  
przyjaciół!“

Tak — od przypadku do przy-  
padku — układałem pieśni podob-  
nie, jak gorące, parzące język ja-  
dko, lęka się ostrożnie, po kawalku.

Minęło 5 lat. I oto słyszę pewnej  
nocy, że cara zrzucili z tronu, że  
wszyscy są teraz równi, że na-  
deszła wolność!

— Jakaż to wolność? — pomy-  
ślałem. W sądach siedzą ci sami  
sędziowie, bogacze dalej panują  
nad nami, — szczególna wolność!

— Ale później zawirował czas, zawi-  
rował wiatr.

To cudzoziemcy, to biatogwardzi-  
ści, to bieczerowcy<sup>2)</sup>. To znów  
aławerdyści pojawiali się po kolei.

Kto ich tak ponazywał, kto ich  
wymyślił?

W tych czasach nie jeszcze nie  
wiedziałem o bolszewikach, chociaż  
serce moje przezuwało, że winien  
przysięść ktoś, wyczekiwany przez  
lud, kto cały ten jarmark roz-  
pedził (skąd też wzięli się ci  
ludzie, zwani bolszewikami, kto ich  
stworzył — o ludzi!)

Pewnego razu przyszli do Jeni-  
kentu cudzoziemcy i rozstrzelali  
3 mieszkańców naszego auzu. Za  
co? Okazało się, że byli bolszewi-  
kami i szli nam na pomoc.

„Oto, — pomyślałem — ziemia  
jest nasza, góry — są nasze, lu-  
dzie, których wieszka się i zabija,  
też nasz... Cóż to takiego? Znaczą  
się — bolszewicy — to my sami  
a rządzą się tu obcy?“

<sup>1)</sup> mowa o rewolucji lutowej  
1917 r., kierowanej przez Kiereń-  
skiego.

<sup>2)</sup> partia kaukaskich nacjonal-  
istów.

— A każdy z nas tylko zajęty  
sobą, tylko dla siebie i o sobie...  
Spokojnej drogi!

Długo trzymał drzwi otwarte,  
słuchał czy się nie potknęła w ciem-  
ności.

Gdy wszedł do drugiego pokoju,  
by zabrać lampę, zobaczył żonę jak  
spala czołem wsparta o kolana  
Stynki, poczuł cięż wzniesienia. Wy-  
cofał się na palcach.

Zapalając papierosa, pomyślał  
złościwie — wygląda jakby chciała  
nieść ciężkiego tyłka

— Jan wziął do wozowni, po-  
ruszał się na pamięć w ciemności.  
Podrzucał dyszel, wypchał sa-  
nie przed szopę. Przyniósł dwie  
wiązki siano, derki i kożuch ru-  
mowski, który kupił od żołnierza.  
Wreszcie poszedł po konie.

Zdaleka już łapał nosem ostry  
aromat jajny. Wyjął skobel i  
wszedł do środka. Niewielka lamp-  
ka, o szkle naddbitym i zakopco-  
nym górze, mżyła przyjaznym świa-  
tłem. Konie stały na świeżo pod-  
zuconej słomie. Odwracały głowy  
wyszac głośno i strzygły uszami.  
Jan uśmiechnął się szeroko, świa-  
tło masnym polyskiem spływało po  
wyczesanych końskich zdychach.

— No Kuba, pojedziemy... — za-  
mrucał. Odpiał kantar, zrzucił z  
brzękiem do pustego żłoba. Zdał  
ze stupa chomontowi wcisnął koniowi  
przez łeb i przekreślił na karku.  
Poklepał twardą ręką ruchliwą,  
pełną sztychów dreszczów łopatkę  
wałacha.

Klacz przełaziła pysk przez prze-  
pienie i obwąchiwała Janowi  
kark. Nie ploszył jej. Czuł aksa-  
mitne, chwytnie wargi i strugę  
piępio oddechu. Związał szleję i po-  
stronki narzucał koniowi na grzbiot.

Gniazdosz nawrócił się sam, pod-  
kowy zaklaskaty twardo o ceglany  
chodnik. Stanął przy uchylonych  
drzwiach, czekał na Jana.



TADEUSZ KUBIAK

MARTWA NATURA

Piersi kobiet martwe. Odcięte od różowych, ciepłych korpusów, pozbawione obiegu krwi i przepływów ciepłego mleka — są jak smutne, choć egzotyczne — kto wie, kto wie — z Itali może słoną wodą eksportowane pomarańcze — wygasły pożar.

Obok palce serdeczne dzieci, które jeszcze nie były zatrute złotem, ani kamieniem dzikim — rzyły pierścieni leżą jak strzęki. A to chyba jest także smutne.

A mógłbym jeszcze przynieść wam głowę uciętą chłopca, nie wiele większą — zobaczcie sami — od tenisowej piłki. I nogę wyjętą z kosza chirurgicznego. To także smutne. Wierzcie mi — smutne. Ale prawdziwe.

Teraz to wszystko narysuj, jakbyś ujrzał przed sobą owoce, misy, smukłe wazon, antyczne wazy. Martwa natura, nad którą cma jedyny żywy z żywych przelata laskocząc świątą głowę po twarzy.

I tyle tylko ocalało z lat w których bawelny i kauczuk miały cenę najwyższą, w których gorące archipelagi drżały od krzyku, a srebrne łodzie podwodne syren zwyczajem — młodych wabiły w głąb — Czy tylko tyle, czy tylko tyle ocalało z tych lat?

Nieprawda. Ja żyję. Nieprawda. Ty żyjesz.

TYMOTEUZ KARPOWICZ

MŁODA KRAWCZYNI

Jeszcze sen usuwam spod powiek — gruz różowy, ułamki świtu, a ty wzrok masz zgamatwany w niciach, Twoja szyja promieniem przebita.

Jak ty się śmiejesz słońcestrzelna znad maszyny tryskającej ściegiem! Dobrze mi w tym uśmiechu, jak w koszuli uszytej przez ciebie.

Dzieci, żywe części podwórka i staruszek przyschnięty do rynny zasłuchani są w twoje ręce — unerwione płatki naftaliny.

Okno upadło na krzyż poprzez niebo utkane z bławatów... I dwie chmury zapięte na słońce są jak broszka z żyjącej laki.

Mija dzień w falbankach z liści... Wnętrze domu w kwiatkach z materiałów. Stoi w szybie codzienny klient — rudy komin do przymiary.

A wieczorem odpływasz na książce do gimnazjum, zadziwiona, małutka. Dzień się skończył — uciał go księżyc jak nożyce płótno.

Klacz była niecierpliwsza. Nie chciała przyjąć wędzida, rzucała łbem i zaciskała zęby. Widząc jak kuli uszy i podkurcza zadnią nogę, szturchnął ją lekko pięścią pod brzuch.

— No Lala, tylko nie ligaj! Konie uważnie przekroczyły próg, prowadził klacz za wodze. Kuba szedł sam. Znał swoje miejsce.

Trzymając Lalę przy pysku, naciekając pierś ustawił i zaprzął sprawnie. Konie wciągały ostre, nocne powietrze, parskały zdrowo. Wrócił do stajni po nowe lejce świeżyci surowym rzemieniem. Staro polatane zawiesił na słupie. Przykręcił lampkę, mażąc sobie palce lepkiem od nafty kurzem, który jak pleśń porastał liszajami szklany zbiorniczek. Zamknął drzwi, nakreślił batem krzyż nad końmi.

Powoli szedł koło sanek, cmokając podprowadzał je pod boczne wejście. Konie ciągnęły nierówno, płozy zacierały na kamieniach wystających spod zdeptanego śniegu. Armaty gadały cicho.

Ktoś przeszedł przez podwórze zatrzymał się przy sankach.

— Ach to wy Janie? Czy coś się stało?

— Nie, panie Tadiusz, jadę teraz z Lucją, do miasta.

— Dlaczego tak po nocy?

— Jeżeli się na fest ruszyło, lepiej teraz, jak za dnia!

— Kiedy wracacie?

— Jak się da. To na południe obrócimy.

— Nie ma nic nowego od chłopców?

— Nie. Jakby pan ich szukał, to u akuszerki na Działówkach jest ich nowa melina.

— Tam ich jeszcze nie widzieli? Rodzić będą?

— Zimno, mróz przyciska, więc się zeszli i bimber czyszczą.

— O cholera, dobrze wiedzied. Wczoraj mi kum mówił, że chodzili po rynku w Doboszowie, jeszcze się nawet dobrze nie zciem-

niło... Ręce w kieszeniach, cygaretka w zębach — jakby nigdy nie. Tylko im ludzie z drogi ustępowały. Gębę Znaczonego wszyscy pamiętają, nie powinni tak kozakować!

— Szkoda, że jedziecie, było by nas więcej!



Noc wygwieżdżona, tylko nad lasem, który mruczał echem dalekiego ognia, chmura podłużna dawała szczybaty księżyc.

— I tak się tu nie będziemy bić, a zresztą nim się ludzi skrzyknie...

— Co zamku będziecie oszczędzać?

— Zamek niejedno widział, tylko o dzieci idzie... Zresztą co tam w kilku chłopca...

— Gotowie! Już sanki podstawione! — usłyszeli głos Celki ni wola- jącey w sien zamkową. Umilkli.

Jan okrył Lucję derką ciężką i wilgotną, pachnącą ostro końskim

potem. Klacz grzebała nogą, iskry przyskły z kamienia.

— Niech pan! Będzie ostrożna! — szepnęła Celinka. Ucałowali się pośpiesznie, rozgrzeszone ciemnością.

— Proszę pani! Chwilczkę jeszcze! — wypadła z sieni Ratajczakowa. — Niech mi ją pani przywiezie! Niech pani przywoła Marysie, za kark i do sanek. Ja jej każę natychmiast wracać! Musi matki posłuchać! Jeżeli to się zaczęło, nie będzie miała chwili spokoju, póki obie nie będą ze mną. W taki czas nie wolno się rozdzielać. Boję się o nią!

— Wio! — cmoknął niespodziewanie Jan, sanie osunęły się lekko z pochyłości, konie z miejsca przesyły w ktus.

— Na miłość boską, niech mi ją pani przywiezie!

— Przywiozę ją pani! Wróć z Marynią! — zawołała Lucja przecięta histerycznym brzmieniem w głosie poznanianki.

Sanie spływały gładko. — Uczyniła się — pomyślała Lucja z zaciuciem ulgi. Zdawało jej się, że stoi przed próbą, którą sama wybrała. — Spełnić obowiązek — szepnęła — muszę dać sobie radę!

— No, no Lalka, nie bój się! — ściągnął wodze Jan, gdy minęli bramę, klacz spłoszyła się na widok jałowców czarnymi słupami widniejących wśród zasp.

— Przejedźmy panienko! — strzelił z bata ufnie, raz i drugi — Cobyśmy nie mieli przejechać!

Skoczyły konie rótkim, kozim galopem. Synyknęły płozy na wysłizganęj drodze. Ostro woń machorki podkręślała tylko świeżość mroźnego powietrza. Iskry wyroily się z fajki, spłynęły mu się po policzku i zażyły nietrawną czerwienią na szerokim kotłnierzu baranicy.

— Szkoda, że nie mogłam z nią pojechać — westchnęła Celinka. Nie- isny cień sanek zapadł się w szar- zejącym łuku bramy — Chodź- my spać pani Ratajczakowo!

NAGRODY I WYDARZENIA LITERACKIE

Z S R R

Rada Ministrów ZSRR na posiedzeniu z dn. 24 marca br. przyznała następujące nagrody beletrystom: poetom, dramaturgom, krytykom i historykom literatury.

Sto tysięcy rubli, jako pierwszą nagrodę za powieść otrzymali: Bubiennow Michał za „Biała brzoza“, Pawlenko Piotr za „Szczęście“, Erenburg Ilija za „Nawalnice“.

Pięćdziesiąt tysięcy rubli, jako drugą nagrodę za beletrystykę dostali: Gończar Aleksander za powieść pt. „Sztandarowcy“, Kozakiewicz Emanuel za powieść pt. „Gwiazda“, Karabajew Berdy za powieść pt. „Decydujący krok“, Kostylew Walenty za trylogię „Iwan Groźny“.

Trzecią nagrodę po 25 tysięcy rubli przyznano: Awdiejewowi Wiktorowi za powieść pt. „Zaspy na drodze“, Galinowi Borysowi za reportaż „W Dombasie“, Kieraszewowi Temborowi za powieść „Droga ku szczęściu“, Kietlińskiej Wierze za powieść „W osadzie“, Kozłowski Iwanowi za książkę „W krymskim podziemiu“, Likstanowi Józefowi za powieść pt. „Drobiażdżca“, Michajłowi Mikołajowi za książkę pt. „Nad mapą ojczyzny“.

Za zbiory wierszy otrzymali nagrody: pierwszą, sto tysięcy rubli: Grybaczew Mikołaj za poemat

„Kołchoz — Bolszewik“; Niedogon Aleksiej za poemat „Sztandar nad sielsowietem“, Sosziura Włodzimierz za tom poezji „Zeby sady szumiały“.

Drugą nagrodę pięćdziesiąt tysięcy rubli przyznano: Sudrabkukowi Janowi za wiersze „W braterskiej rodzinie“, Tankowi Maksymowi za poezję „Gdybyśmy wiedzieli“, Tursunowi — Zade Mirzo za utwory poetyckie „Indyjska ballada“.

Za utwory dramatyczne pierwszą nagrodę sto tysięcy rubli otrzymali: Romanow Borys za sztukę pt. „Wielka siła“ oraz Jakobson August za sztukę pt. „Walka bez linii frontu“.

Drugą nagrodą 50 tysięcy rubli wyróżniono: Wirte Mikołaja za dramat „Nasz chleb codzienny“ i Sofronowa Anatoliusza za sztukę „W pewnym mieście“.

W dziale krytyki i muzykologii: pierwszą nagrodę sto tysięcy rubli otrzymał: Asafiew Borys za książkę pt. „Glinka“.

Drugą nagrodę przyznano Mej- lachowi Borysowi za książkę pt. „Lenin i problemy rosyjskiej literatury“ oraz Nieczkinowej Milicy za książkę o Grybojedowiu.

gijskich odpowiada 150 tysiącom francuskich), jest o tyle oryginalna, że przypada wydawcy.

Inną międzynarodową nagrodę — „Pierre Veillon“, tym razem we fińskich szwajcarskich (p.e.ę tysiące), otrzymał młody pisarz francuski Pierre Gamarra za rękopis powieści „La maison rouge“.

Ale jury cechu książki decyzyje swą odłożyło rozsądnie do września 1948, nie znalazło bowiem wśród nadających prac takiej która by zasługiwała na wyróżnienie.

W styczniu zebrało się także jury bardzo osobliwe nagrody — „Prix Arcadius“. W skład tego jury wchodzi 13 młodych dziennikarzy którzy zbierają się w 13-tych

według ich obliczenia) miesiącu roku dnia 13-go o godzinie 13-tej, by wyróżnić najgorsze jury roku. Wydawcy, któryi dotychczas nie tundowali ani też nie otrzymali żadnej nagrody literackiej, przyznać sumę franków 13. Ten wątpliwy zaszczyt przypadł w tym roku Akademii Goncourtów, której decyzję krytyka najbardziej podawała w wątpliwość. Najbardziej pracowitemu członkowi jury literackich, Georges Duhamelowi, który zasiada podobno w 79 jury, przesłał dziennikarce „braterskie pozdrowienie“. Ta parodia nagrody pomyślana jest jako protest przeciw inflacji nagród na giełdzie literackiej.

FRANCJA

Sezon nagród literackich we Francji trwa bez przerwy. Jeszcze nie przebrzmiały echa laurów grudniowych, a już rok 1948 wieńczy nowych wybrańców. Listę tych noworocznych wyróżnień rozpoczęła 5 stycznia nagroda miasta Paryża. Przyznaje ją rokrocznie rada miejska stolicy z udziałem kilku pisarzy. Nagroda ta, w sumie 100 tysięcy franków, przypada kolejno powieściopisarzowi, essayiście, historykowi lub filozofowi. W tym roku odkryto zapomnianego dziś pisarza, jednego z niezliczonych „starzych“, 82-letniego André Suaresa. Ponieważ w roku ubiegłym laureatem Paryża był zmarły niedawno Fargue, można by twierdzić, że rdn paryscy są zwolennikami tradycji i nie holdują nowoczesnym metodom literackim. Decyzja ta spotkała się zresztą z uznaniem krytyki fachowej. Przepomnienie publiczności mało dziś czytanych studiów Suaresa o Napoléonie, Pascalu, Ibsenie czy Tolstoju oraz wrażeń z podróży, w których, według wyznania autora, wysuwa się na czoło troska o piękno i doskonałość stylu, ma swoją wymowę w okresie, kiedy młodym pisarzom zarzuca się coraz częściej niedbałość słowa, a nawet okady gramatyczne.

Nagroda Sa'nt - Beuve'a ma od ubiegłego roku niedobrą tradycję; raz bowiem otrzymał ją piserz, który pod pseudonimem ukrył swoją współpracę z okupantem, drugi raz Krawczenko. Tradycja ta utrzymałaby się i w tym roku, gdyby Marcel Jouhandeau nie wycałał niemal w ostatniej chwili swojego kandydatu. Gdy zabrakło autora wydanego niedawno „Essayu o

sobie samym“, nagroda w dziale essayu przypadła poecie Antoninowi Arthaud za książkę o van Gogh. Malarz ten cieszy się ostatnio wielką sympatią publiczności francuskiej, o czym świadczy powodzenie dwóch paryskich wystaw, poświęconych jego twórczości. W dziale powieści tę samą nagrodę otrzymał Armand Hoog, krytyk tygodnika „Carrefour“ i wykładowca na uniwersytecie w Strassburgu. Krytyk i profesor, uprawiający twórczość powieściową, staje się zjawiskiem coraz częstszym we Francji. Wyróżniona powieść Hooga „L'Accident“ zamyka się w kręgu zagadnień moralnych i filozoficznych. Bohater powieści, dyrektor instytutu psychoanalitycznego, rzucony na odległą wyspę, dokonuje psychoanalizy na sobie samym i zastanawia się nad zagadnieniem odpowiedzialności, które absorbuje pisarza-krytyka.

Z nagród międzynarodowych wymienić należy dwie, które przypadły pisarzom francuskim. Powstały niedawno belgijski klub książki miesiąca, przyznał pierwszą swoją nagrodę, przeznaczoną dla dzieła (powieść, essay, biografia, dzieło historyczne etc.), opublikowanego w jednym z krajów, w którym mówi się językiem francuskim (Francja, Belgia, Szwajcaria, Kanada), powieści Germaine Beaumont „La route d'infortune“ („Płon“). Tę interesującą powieść — pamiętnik nie- szczęśliwej kobiety — drukowały niedawno „Les Nouvelles Littéraires“, w których autorka zamieszcza swój tygodniowy felieton. Nagroda klubu belgijskiego, stosunkowo wysoka (trzydzieści tysięcy franków bel-

JUGOSŁAWIA

Jugosłowiańskie „Nowiny Księgarskie“ nr 4 br., organ związku księgarzy, przynosi wiadomości o przyznaniu tegorocznych nagród za wybitne utwory literackie, opublikowane w roku 1947 na ziemiach republik Serbów, Kroatów, Słoweniów, Czarnogórców, Dalmatyńców, Macedończyków i Bośniaków. W dziale poezji nagrodzono Radowana Zogovicia za zbiór utworów pt. „Hardé strofy“, za powieść otrzymali drugie nagrody Miska Krancja („Katedra św. Jana“), Oto Bihalji Merina („Do zobaczenia w październiku“). Trzecią nagrodę beletrystyczną przyznano Erwinowi Sinko za powieść „Czarnaście dni“. Pierwszej nagrody nie otrzymał żaden z beletrystów jugosłowiańskich. Nagrody te wynoszą 80 tysięcy dinarów za wiersze, 60 i 40

tysięcy za prozę. W dziale krytyki i essay'u sędziowie nie znaleźli nic godnego wyróżnienia.

Twórczość na polu dramatycznym dała sądowi m. ność wyróżnienia dwóch sztuk „Wieczór“ Skendera Kulenowicia i „Pięść przed nosem“ Józefa Horwata. Obie te sztuki otrzymały trzecie nagrody po 30 tysięcy dinarów.

Tegoroczne nagrody objęły również sztuki plastyczne, muzykę, teatr, kino, tańce. Najwyższą nagrodę 100 tysięcy dinarów osiągnął rzeźbiarz Vojin Bakic za pomnik w Bielowarze. Rzeźbiarzewo nagrodzono ogółem sześciu. W Jugostawii przyznaje się coroczne nagrody za dyrygowanie operą za wykonanie ról tak w sztukach o komediowym, dramatycznym charakterze, jak ról operowych.

CZECHOSŁOWACJA

W Pradze ukazała się obszerna praca monograficzna Wacława Zaczka pt. „Czechovi a polacy roku 1848“ (Czesi i Polacy w roku 1848). Książkę tę wydano nakładem czeskiego Instytutu Naukowo-Słowiańskiego, jako dwudziesty drugi tom prac historycznych. Monografie jest obrazem stosunków polsko-czeskich w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku, ukazuje wielką emigrację polską (1831—1848) i jej postawę wobec słowianstwa. Daje też przegląd prądów, jakie nurtowały opinię czeską w epoce powstania listopadowego, uwyplukła współpracę czesko-polską w tym okresie i później. Duży rozdział omawia współzycie polskich i czeskich studentów, uczących się w Wiedniu. W ogóle praca ta przedstawia historyczny rozwój stosunków politycznych i kulturalnych polsko-czeskich. Rozdział „Kolar przeciw Mickiewiczowi“ „Karol Havlicek a Polacy“, „Edmund Chojeck“ należą do bardzo ciekawych

przyczynków, charakteryzujących polsko-czeskie zainteresowania kontakty narodowe.

Zdenek Nejedly, obecny minister oświaty w gabinecie Gotwalda, prezes czeskiej Akademii Nauk, obchodził siedemdziesięciolecie swoich urodzin w dn. 10 lutego br. Z okazji tej rocznicy Komitet Słowiański, przesłał temu znakomitemu historykowi; czeskiemu uroczyste pozdrowienie. Zdenek Nejedly jest autorem „Historii Czech“ Napiisał obszerną monografię o prezydencie Masaryku. Jego książka o Leninie została nagrodzona przez rosyjską akademię nauk. Otrzymał też order im. Lenina. Studia jego nad ruchem husyckim wyróżniane są przez naukę historyczną. Zdenek Nejedly uzyskał też duży posłuch jako muzykolog. Znankom ty uczoney, prezes czeskiej akademii nauk, był również ministrem opieki społecznej.

Czy jesteś już członkiem Klubu Literackiego „ODRODZENIA“?

— Już tylko niech mama odrazu nie wchodzi!

— Nie słyszała kroków, dopiero na zgrzyt obracanego klucza, pchnęła drzwi.

— Mała lampa naftowa, zwana piątką od numeru szkła stała na rogu stołu, tak zwrócona, że blaszany reflektorek rzucał okrągły cień na pół izby. Irka klęczała w balii, ciało jej białeło przysnute parą. Ratajczakowa raz i dwa podszła bliżej. Czysta linia pleców dziewczyny, odsłonięty kark, kończył się czerwonym zawojem, w który ujęła niesforne włosy.



— Cóż to matki się wstydziysz? — zapytała Ratajczakowa podejrzliwie. Widziała teraz córkę odmienną, przystaniała sobie pierś skrzyżowanymi rękami, stulała udu, odwrócona i niechętna.

— Nie wstydzę się, tylko mnie krepujesz, nie jestem już dzieckiem! Mam! — zawołała boleśnie, gdy światło odwracanej lampy do- było ją z półmroku.

— Dla mnie zawsze będziesz dzieckiem, zapamiętaj to sobie! Gdzie masz mydło? Dai, to ci plecy omyle!

Przysunęła sobie krzesło Zawinęta rękawy i siadłszy wygodnie ślizgała się palcami po nagim karku dziewczyny. Czula nieznaną dotąd wzruszenie, silniejsze niż tworo- zliwa myśl — trzeba jej strzec, może już się podobać, a taka głupia i bezbronna... Myślała z zalem; co to z tego niecierpliwego maleństwa wyrosło... Niedawno usypiała mi przy pierś, z sutką w wargach, a gdy próbowałam wyjąć, ciągnęła mocno, aż bolało — a dziś — panna jak tania! Splukiwała powolny- mi ruchami łopatkę córki, czula zapach młodego rozgrzanego ciała, nie tłumila go nawet woń lichego mydła.

Zrozumiała nagle kruchość swego posiadania. Ogarnęła ją przec- zucie samotności tak ostre, że objęła córkę mocno, przytuliła policzek do jej głowy i zaplakała nagle.

— Mam! Co mamie się stało? — Odwróciła się gwałtownie Irka. Złapała matkę za szyję mokrym ramieniem, przyciągnęła pełną lek- ku. Czula jak jej izy spływają na piersi.

— Nic, córuś, nic... Tylko tak mi się pomyślało... Mam was jeszcze dwie do kochania, mogę wam ust- żyć — mamrotała lekmi wargami. — Ale jak długo jeszcze? — zachłysnęła się łkanem.

Irka klęczała zdrgnięta, nie rozumiała matki. Siedziały tak chwile, bliskie oddech przykładały się, czuły mimo splecionych ramion, że każda z nich jest sama.

— Na pewno z niej wyjdzie? Włodzio poprawił sięrniętą no- gę. Pod kożuchem było parno.

— Widziałem ją jak zasnęła. Siedziały w kuchni z otwartymi ustami i robiła tak — hrr, hrr...

— No i co z tego? — zaniepo- koila się Teklunia. — Skąd wiesz że to dusza?

— Dalszy ciąg nastąpi!

# S Y N O W I E

Niedyskretne wspomnienia

WACŁAW ROGOWICZ

## WIZJA NINON DE LENCIOS

### NA ZAMKU

Czas? — podczas Dwudziestolecia. Miejsce? — sale recepcyjne Zamku Królewskiego w Warszawie. Pora dnia? — późnym wieczorem. Raut-gala z bufetem (ściślej: bufet z rautem). Z powodu? — nie pamiętam. Na zaproszenia: adnotacja protokołu: stroje wieczorowe... „przy orderach” (tak!). Prócz dygnitarzy państwowych, wojskowych i cywilnych, posłów i senatorów korpusu dyplomatycznego, dostojników kościelnych, głów samorządu stolicy, również przedstawiciele sfer naukowych, literackich i artystycznych oraz w ogóle tzw. w dług niewiadomego bliżej kryterium, wybitne osobistości.

Po krótkim salem — alejkum (czyli shake — hand) z Gospodarzem, świetnie się prezentującym we fraku z błękitną wstęgą — Orla Białego — w małej sali Rywskiej — goście sączą się, pojedynczo lub grupkami, z damami luc bez dam, do wielkiej sali, zalanej potokami światła z kryształowych żyrandoli i brązowych kirkietów.

Tu będzie czerce. Ze tą salą — przyległą, ale pod kątem prostym swą długością — to Mekka, do której na razie wstęp jest jeszcze wzbroniony; tu stoi w jednej linii długi szereg suto zastawionych stołów, to znaczy, w danym wypadku, sprzątwów, przy których się stoi.

Z wielkiej sali, w rogu, rozwarte na oścież białe ze złotem podwoje prowadzą do gobelinowej komnaty — buduaru o przymionnych kołochach mebli i dywanu na całą posadzkę i światłach dyskretnych. Tu można półoficjalnie palić, jest gdzie wygodnie usiąść i wygodnie szepnąć plotkować.

Na rautach zamkowych Dwudziestolecia nie było zwyczajem dawania gościom muzyki, śpiewu. Dawano wrażenia żołądkowe (główna atrakcja) i wzrokowe. Gdy się widziało taką galę pierwszy raz, widowni było istotnie interesujące na pół godziny, no, na godzinę.

Na tej barwiny strojów damskich, fraków, smokingów i mundurów, nad lawiną wstęg i wstążek orderowych, gwiazd galonów, akcesoriów, haftów, ambasadorskich, wyrasta ci naraz w tłumie olbrzymia barczysta postać w kardynalskiej czerwień z purpurową puszką na wielkiej głowie, lub dla odmiany urzysz — niby makietę okrągłej niskiej baszty — kolkpak z Białego aksamitu, z krótkim białym welonkiem z tyłu i z brylantowym krzyżem na froncie „klobuku” metropolity (pastorzy i wielki rabin nie wyróżniali się niczym z ogólnej męskiej czerni).

Naraz robi się z gwaru szybko cichnący szum; tworzy się szpaler. Szybkim krokiem, w szczechu ostróg asysty i bez uśmiechu, jakby to była rewia wojskowa, w szarobłękitnym mundurze bez dekoracji przechodzi przez salę i skręca do buduaru... On. „Za nim wo sled nieślicznej tołpoji ssi p'ency...” — coś mi się ochapia z „Półtawy” Puszkina... Ale to nie „p'tency” (piśkleta) — to już dobrze opierzone koguty — zadziory, poniekąd nawet na opałe kapłony wyglądają zgalwanizowane na chwilę w ruchach obecności wodza... Wierna gromada, wydeptująca gorliwość własną „ścieżkę obok drogi” — ścieżkę, kończącą się... na moście w Zaleszczykach, w pamiętnym wrzesniowym wysięgu na tęb na szyję przodowników... wiania.

Nie sprawiło mi tego dnia kłopotu wsuwanie pod sztywny kołnierzyk komandorskiej wstążki orderu Polonia Restituta — bo go nie miałem! Ale miał go Wacław Berent. Zobaczyłem go i podszedłem; stał samotnie pod ścianą wielkiej sali, żeby mieć cały spektakl przed sobą, przed swymi blizzącymi dziwnym, wewnętrzny światłem oczami, które dojrzały ducha wczesnego Renesansu w późnym średniowieczu, w czarującej, przez tuż może głowę w Polsce zrozumiennie książce „Zwycie kamienie”, gdzie Madonna i „Pani Venus” przyjaźnią się do siebie uśmiechając.

Berent nie miał na sobie orderu. Żadna barwna plama nie ozdobiła jego wieczorowego sroju.

Zaczeliśmy na ten temat rozmawiać. Znakomity pisarz swym przylusznym, mało dźwięcznym głosem dowodził że nosiły odznaczenie, gdyby istniało specjalne wspólne dla pisarzy i nauczycieli. „Bo nasze powołanie jest jednakowe: rzetelny pisarz jest nauczycielem” — powiedział.

W momentalnie powstałym skąpaniu z niewypowiedzianym wyrazem przez Berenta powodem zlekceważenia zaleceń protokołu gali na Zamku, zapytałem go, czy zna opinie o orderach Ninon de Lencios, tej słynnej z urody, inteligencji i dowcipu Aspazji wieku Ludwika XIV.

Nie wiedział — więc mu powiedziałem:

Kiedy Cezar de Choiseul, marszałek Francji, został przez króla odznaczony za swe zasługi wojenne wysokim orderem św. Ludwika, przyszedłszy w odwiedziny do swej przyjaciółki, w rozmowie nie mógł się powstrzymać od spoglądania na swą świeżą dekorację. W pewnej chwili Ninon de Lencios zmrużyła

(Dokończenie ze str. 1)

w suterenach, aby ogrzać się nieco i wychłapać zupę z brukwi, którą przywozili nam w metalowym termosie. Zupa śmierdziała żelazem, ale zawsze liczyliśmy na to, że da nam coś zjeść kucharz, który gotował dla oficerów.

Kończyliśmy już jeść, gdy przyszła z góry Maryśka, pokojówka Stanickiej z oznajmieniem, iż starsza pani prosi młodszego z panów cięśli na górę. Otrząpiałem kombinizon i poszedłem za kolebiącym się zadem Maryśki.

Siedzieliśmy obydwie w salonie na pokrytych pokrowcami fotelach — ze ścian odziały wyblakłe tapety. Starsza miała nogi okrócone elastycznym bandażem, co widać było przez pończochy. Zwyczajnie —



miała żyłki. Obute były obydwie w domowe pantofle z króliczej sierści. Po wymianie kilku zdawkowych komplementów zaprosiły mnie na pogawędkę wieczorną, miał przyjąć ksiądz wikary.

Pojąłem, że kobiety ta wietrzna w powietrzu intruzująca historia à la Harun Al Raszyd, że n'by cięśla, a tu w gruncie rzeczy Bóg wie kto. Obiecałem złożyć wizytę.

Wytańczyłem Stasiaka z głębi korytarza, gdzie mietosił jedną z dziewczyn i poszliśmy kończyć krycie dachu szopy. Zawsze, gdy się Stasiak rozgrzał w porze obiadu, wieczorem opowiadał mi niekończące się ballady o swych miłosnych przewagach i drapał się przy tym z chrząstem, bo wszy mu nadzwyczaj dokuczały.

Umyłem się czysto w kuble i wdziałem nowe drelichy Stasiak pożyczyl mi krawat, a i wypucowane na czarno pastą drewniak prezentowały się nie najgorzej. Przywołałem na pomoc ducha dzielnego wojaka Szwajka i poszedłem do pałacu. Gdy wychodziłem zgrzytnawszy drzwiami, Makuch odsapnął i powiedział, walcząc z zadyską.

— Możesz im pan tam powiedzieć ode mnie, że Makuch się kłania.

— Daj spokój stary, daj spokój — mitygowała go pośpiesznie żona.

Zdziwił mnie ton żałości, jaki dźwięczał w odezwaniu się Makucha. Człowiek ten bowiem zazwyczaj ważył swe słowa i ruchy tak, jakby nosił w sobie niebezpieczną gada i obawiał się go zbudzić. W istocie lekał się ataku astmy.

W salonie pań Stanickich było tak samo jak w południe z tym, że zmrók zalegał kąty pokoju, przez co nie występowała tak jaskrawo brzydota oszukanych ścian. W sieci kryształowych wisiorów żyrandola jarzyła się najprawdziwsza, mleczna żarówka.

Starsza pani szydełkowała — snuła starą welnę z kłęba uwieszonoego w pięknie rzeźbionej kuli. Młodsza nalewała herbatę do filiżanek, czującą mnie i wikarego c'asteczkami, pozostałymi chyba, jeszcze od Nowego Roku.

Opowiadałem o powstaniu oczywiście. Mówiłem w ten sposób, aby nie zaangażować własnej osoby w tok opowiadania. Głędziłem o bohaterstwie żołnierzy zgrupowania „Parasol”. Kontaktowaliśmy się z tym zgrupowaniem dosyć często i miałem niejakie pojęcie o wczesnych chłopów tej jednostki. Zastanawiałem się tym „Parasolem” jak mogłem najdokładniej. Ostatnim bowiem głusstwem jakie mógłbym uczynić, byłoby napomknięcie choćby o swoim właściwym stosunku do sprawy powstania i jego inspiatorów. Teraz zwłaszcza, gdy przed kilkoma dniami zapukał późnym wieczorem do chaty Makuchów „Witek”, dowódca plutonu „Wola” i suplałszy w trudnym tutejszym terenie sieć AL-owskich kontaktów.

Księdza obchodziła rola kleru w powstaniu. Zdejmował i zakładał binokle, czyszcząc je, gdy zachodziły mu parą herbaty. Ciekawie wyglądał po zjęciu szkieł. Czy

złościwie swe piękne oczy i, kładąc mu rękę na ramieniu, rzekła: „Mój drogi, jeżeli jeszcze raz zerkniesz na ten order, to ja ci zaraz przypomnę, kto go jednocześnie z tobą otrzymał...” Podobno to momentalnie poskutkowało.

Berentowi ta historyjka ogromnie się podobała.

Wacław Rogowicz

uciekają mu w głąb, a natomiast w dwójnasób ostro sterzał do przodu jego chudy, zmaltretowany uciskiem binokli nos.

Po prawdziwie męczym się okropnie. Wszy zdumione moją nieruchomością, cięły wściekle, a do tego obawiało się, że któraś wyjdzie niespodziewanie zza koinierza i zacznie spacerować po kurtce. Ponadto zaburzało mi kilka razy w żołądku. Odgłos ten, od którego wibrowało moje całe wnętrze, był tak dobitny, iż nie wiele pomagało tuszowanie go wzmocnionym potokiem elokwencji.

Godzina policyjna którą wprowadzono ostatnio w okolicy, a o której starsza z pań wspominała dyskretnie i z utyskiwanem, skróciła czas tej koszarnej dla mnie wizyty. Młodsza z pań zaprosiła nas na sobotę. Opuściłem pałac w towarzystwie wikarego i odprowadzałem go na piebanie. W drodze opowiadał mi pokrótce historię rodu Stanickich, streszczając ją do najważniejszych wydarzeń w życiu tej rodziny. Czasu bowiem miałem już nie wiele, a i wikary mieszkał niezbyt daleko od pałacu.

Słyszał pan zapewne o tragedii, jaka była udziałem pani Stanickiej. Śmierć jej syna, powieszonoego rok temu wraz z dwudziestoma młodymi chłopami z okolicznych wiosek, których zorganizował w oddziały partyzancki, przekreśliła raz na zawsze jej nadzieje na powrót dworu do dawnej świetności. Rozmaite istnieją pogłoski, dotyczące przyczyn zdeskonspirowania się oddziału i śmierci tych ludzi. Najuporczywiej powtarzają, a moim zdaniem i najstusniejszą, jest wersja mówiąca o tym, że zawiniła w całej sprawie zbyt wielka ufność, jaką obdarzał młody pan Stanicki swego byłego administratora niejakiego Brauna. Nazwisko to nie powinno być panu obce.

Istotnie, nie było mi obce, nosił je folksdojcz — wójt tutejszy, ostatnie bydlę i SA-man na dokładkę. Kiwnąłem zatem ze zrozumieniem głową.

— ...Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę z tego, jak trudno jest

zmienić swój stosunek do człowieka, którego się zna od dziecka i któremu zawierano się od lat najmłodszych swe tajemnice — dodał wikary tonem usprawiedliwienia — Zwłaszcza w rodzinach ziemiańskich, gdzie administrator jest często jakby członkiem rodziny, a przynajmniej uczestniczy i wie o wielu sprawach, które wymagają niejakijsz dyskrecji. — Wikary zamysłił się i szedł przez chwilę w milczeniu zapatrzonej w swój cień, wywołany przez światło księżycza. Myślał zapewne o ułomności ludzkiej, która każde popelniać dla srebrników miłych sercu gęsty Judasza. Ja zaś rozważałem od strony fachowej konspiracyjny grzech młodego dziedzica — nie mogę powiedzieć, aby uczucia, jakie żywiłem dla jego ciera, były choć odrobinę zabarwione współczuciem. Najprzykrejsze jednak z całego wieczoru było pożegnanie z księdzem, który blagostawił mnie na środku szosy i kreślił nade mną znaki krzyża. Zenowało mnie to, zwłaszcza, że nie wiedziałem, co się w takich wypadkach księdzu odpowiada. Belkotałem zatem coś pod nosem o Bogu, który ma za coś księdzu zapłacić. Odszedł wreszcie szleszcząc nogami w polach sutanny.



Nazajutrz Stasiak opowiadał mi, jaki wir powstał po moim wyjściu w chacie Makuchów. Wspominali o kosztownym procesie, który wiedli ze starym Stanickim o klin roli. Stanicki proces wygrał.

Makuchowa przypomniała o lotrostrwach, jakich dopuszczała się na okolicznych chłopach i sezonowych robotnikach rolnych. Obdarzała go epitetem „byk” i życzyła jego czarnej duszy wszystkim mąk piekła.

— Zalał mi sadza za skórę Stanicki, na spółkę z tym swoim administratorem Braunem — kończył relację Stasiak. — Umilkli obydwaj, gdy doszli do młodszego Stanickiego. Wtedy zabrał im chyba słów, bo nacięższymi obydzielili już poprzednio całą rodzinę.

Stasiak spojrział na mnie i dorzucił: — Na ciebie także p'oczył Makuch. „Taki wydawało się przytoczonym — powiada — o reformie rolnej zagadnię, z chłopami n'by trzyma, a patrz, przysłał okazja do dworu polecić do swoich”. Powiadam ci, że względem agitacji to ty już z Makuchem nie gadaj, Raz,

że już tobie nie wierzy, a po drugie, to on jest już przez samo życie lepiej zaangażowany niż zrobi to dwudziestu takich jak ty sraluchów. Oni tu już bracie od wieków tak żyją jak te... borsuki.

Stasiak zamilkł. Wymarkał się z wprawą i przetrzął na drugie ramię skrzynkę z narzędziami.

— A jeszcze teraz, kiedy go ten Braun do reszty przy zbieraniu kontyngentu wykończył. Wiesz, ja nie wiem, jak oni to wszystko wytrzymują. Ja bym już się dawno powiesił albo bym wyrwał grdykę temu szkopowi. — Stasiak zakrył swoje zrogowaciałe popękane od zimna szpony.

— ...A no opowiadaj hrabio, jak tam było wczoraj w pałacu?

Z kosych oczu Stasiaka wyrażała zwykła ludzka ciekawość. Czułem niechęć do wspomnień wczorajszej wizyty. Pozostał mi po niej taki smak, jak po bimbrze, który we wsi pedził z buraków cukrowych niejakaj Żyła. Bimber chuchał piwnicznym, nieprzejednanym smrodem. Zbyłem zatem Stasiaka kilkoma zdawkowymi określeniami, dotyczącymi pań Stanickich.

Podobała mi się młoda Stanicka. Była wysoka, wyższa nieco ode mnie, tęga i niecodziennie zgrabna, zwłaszcza piersi sterzały jej natargczywie do przodu.

— Gdybym nie był taki zawzorny, kto wie, może bym i spróbował — myślałem z zalem. To zawżenie urastało we mnie do rozmiańców kompleksu, czułem się jak trędowaty. Wyobrazałem sobie, że młoda dziedziczka kisnie w tym swoim pałacu i wzbiera sokami jak ogórek w beczce. Ale i tego złudzenia pozbawiłem mnie w czasie obiadu. Maryśka-pokojówka znalazła pod oknami młodziej pani kilka przetrwały i pudełko po papierosach „Junco”.

Cienki śnieg w nocy staiał i wylazły z pod niego przetrwały. Maryśka opowiadała to wszystko Stasiakowi, chichocząc drobniutko jak świerszcz.

Zadne z okien przynależących do pokojów zamieszkałych przez oficerów niemieckich nie wychodziło na stronę wschodnią. Na te strony wychodziły tylko okna od apartamentów pań Stanickich. Wobec tego zastanawiałem się czy nie wypadają w zrzęznawcz z sobotnich odwiedzin. Poszedłem jednak pragnąc dowiedzieć się szczegółów w sprawie Makucha w interpretacji „dworskiej”. Przysłała mi z pomocą panna Wanda (takie imię nosiła młodsza dziedziczka), pytając gdzie i jak teraz mieszkał. Nabzdurzyłem im bowiem o bogactwach, jakie splonęły w moim domu w Warszawie. Po jej pytaniu podniosłem oczy w górę i chwyciłem się dłońmi za skronie. Nakreśliłem następnie tragiczny obraz mego obecnego położenia i opowiadałem zagęszcziąc, o ile było to w ogóle możliwe, barwy o niednym bytowaniu moich gospodarzy. Uparcie powtarzane nazwisko Makuch, odniosło zamierzozy skutek.

Młody człowiek — starsza pani odłożyła robotkę i pukala niecierpliwie palcem w poręcz fotela — pozwól pan sobie powiedzieć, że w istocie obojętnym mi jest los tego wieśniaka. I wierzę mi, że na swe obecne położenie w pełni zasłużył dzięki swej krąbrności i głupocie.

— Tak — podjęła dziedziczka — i oto ci sami chłopci, dla których poświęcił najlepsze lata swego życia, przywieśli go do zguby, wydali w ręce oprawców.

— Mówią — wtracił wikary cicho — że w tej sprawie maczał ręce Braun...

— Och, nigdy bym nie posadzał o takie lotrostwo tego człowieka. Był i jest nadal zbyt oddany naszej rodzinie.

Nastąpiła chwila najzupełniejszej ciszy.

Cisza była zupełna, zląkłem się, iż obecni posłyszają szmer wywołany przez wszy, buszujące mi pod kosszłą.

Rozpocząłem się oglądanie albumu. Z fotografii otwierając zbiór patrzył na mnie starszy ode mnie gość, lysiejący nawet z lekką ubrawną w sportową, rozpiętą pod szyją koszulę. U nog warował mu wielki czarny wilczur. Dalej były zdjęcia z Paryża takie, jakien się spodziewałem przy wizyci Eifla, przed pałacem Inwalidów, przed Louvrem itd. Po tym następował portret w korporanckiej czapce, przy spadzie, ze wstęgą biegnącą w poprzek piersi, fotografia w gronie podobnie wyszytlowanych kolegów z kielichami w dłońach. I tak dalej i tak dalej, aż do nagusa na niedźwiedziej skórze.

Od dłuższej zresztą chwili nie zwracałem uwagi na oglądane fotografie. Przysłuchiwałem się jak narastał w płatinie szkieleł żyrandola cichutki, uparty dźwięk. Nie, nie myliłem się, oto żyrandolowy zawórowały szyby w oknach a zwłaszcza jedna, widąc luźniej obsadzona, dzwoniła zupełnie wyraźnie. Podniosłem do góry dłoń ostrzegawczym gestem. Wówczas oni przestali szeleścić kartkami i zastęgli tak jak aktorzy w ostatnim akcie „Wesela”. Na dole w kwaterek oficerów ktoś raz i drugi chlapanął głośno drzwiami. Radosne przecucie przerodziło się w mym mózgu prawie w pewność. Pożegnanie z pałami nosiło cechy niejakiego popłochu. Gnałem za wikarem po schodach pałacu tak prędko jakby ta rudera już waliła mi się na plecy. Tym razem pożegnał mnie szybko i biegł prawie zszosą ku plebanii.

Niepotrzebnie się spieszył miał jeszcze tydzień czasu na to, aby przygotować się do zmian jakie miały nadejść dla tej części kraju.

Przez cały ten tydzień nie podobna było usiedzieć na miejscu zwłaszcza, że „Witek” znikł z okolicy, a na punkcie w Hoinach Strynkiewicz mógł nam niewiele powiedzieć. Twierdził on że „Witka” przytrzymali towarzysze w mieście i zaprzegli go tam do jakiejś pilnej roboty.

Sądzone nam było, że właśnie w tym momencie siedzieć będzie my z założonymi rękoma.

Jakoż w dniu tym gdy ofensywa przetaczała się przez naszą wioskę, tkwiliśmy ze Stasiakiem przy oknie gapiąc się na czolgi, które z łoskotem mknęły po szosie jak rozwścieczone słonie. Spod gąsienic brzygają w górę zmarznięte

— Tak — podjęła dziedziczka — i oto ci sami chłopci, dla których poświęcił najlepsze lata swego życia, przywieśli go do zguby, wydali w ręce oprawców.

— Mówią — wtracił wikary cicho — że w tej sprawie maczał ręce Braun...

— Och, nigdy bym nie posadzał o takie lotrostwo tego człowieka. Był i jest nadal zbyt oddany naszej rodzinie.

Nastąpiła chwila najzupełniejszej ciszy.

Cisza była zupełna, zląkłem się, iż obecni posłyszają szmer wywołany przez wszy, buszujące mi pod kosszłą.

Rozpocząłem się oglądanie albumu. Z fotografii otwierając zbiór patrzył na mnie starszy ode mnie gość, lysiejący nawet z lekką ubrawną w sportową, rozpiętą pod szyją koszulę. U nog warował mu wielki czarny wilczur. Dalej były zdjęcia z Paryża takie, jakien się spodziewałem przy wizyci Eifla, przed pałacem Inwalidów, przed Louvrem itd. Po tym następował portret w korporanckiej czapce, przy spadzie, ze wstęgą biegnącą w poprzek piersi, fotografia w gronie podobnie wyszytlowanych kolegów z kielichami w dłońach. I tak dalej i tak dalej, aż do nagusa na niedźwiedziej skórze.

Od dłuższej zresztą chwili nie zwracałem uwagi na oglądane fotografie. Przysłuchiwałem się jak narastał w płatinie szkieleł żyrandola cichutki, uparty dźwięk. Nie, nie myliłem się, oto żyrandolowy zawórowały szyby w oknach a zwłaszcza jedna, widąc luźniej obsadzona, dzwoniła zupełnie wyraźnie. Podniosłem do góry dłoń ostrzegawczym gestem. Wówczas oni przestali szeleścić kartkami i zastęgli tak jak aktorzy w ostatnim akcie „Wesela”. Na dole w kwaterek oficerów ktoś raz i drugi chlapanął głośno drzwiami. Radosne przecucie przerodziło się w mym mózgu prawie w pewność. Pożegnanie z pałami nosiło cechy niejakiego popłochu. Gnałem za wikarem po schodach pałacu tak prędko jakby ta rudera już waliła mi się na plecy. Tym razem pożegnał mnie szybko i biegł prawie zszosą ku plebanii.

Niepotrzebnie się spieszył miał jeszcze tydzień czasu na to, aby przygotować się do zmian jakie miały nadejść dla tej części kraju.

Przez cały ten tydzień nie podobna było usiedzieć na miejscu zwłaszcza, że „Witek” znikł z okolicy, a na punkcie w Hoinach Strynkiewicz mógł nam niewiele powiedzieć. Twierdził on że „Witka” przytrzymali towarzysze w mieście i zaprzegli go tam do jakiejś pilnej roboty.

Sądzone nam było, że właśnie w tym momencie siedzieć będzie my z założonymi rękoma.

Jakoż w dniu tym gdy ofensywa przetaczała się przez naszą wioskę, tkwiliśmy ze Stasiakiem przy oknie gapiąc się na czolgi, które z łoskotem mknęły po szosie jak rozwścieczone słonie. Spod gąsienic brzygają w górę zmarznięte

— Tak — podjęła dziedziczka — i oto ci sami chłopci, dla których poświęcił najlepsze lata swego życia, przywieśli go do zguby, wydali w ręce oprawców.

— Mówią — wtracił wikary cicho — że w tej sprawie maczał ręce Braun...

— Och, nigdy bym nie posadzał o takie lotrostwo tego człowieka. Był i jest nadal zbyt oddany naszej rodzinie.

Nastąpiła chwila najzupełniejszej ciszy.

Cisza była zupełna, zląkłem się, iż obecni posłyszają szmer wywołany przez wszy, buszujące mi pod kosszłą.

Rozpocząłem się oglądanie albumu. Z fotografii otwierając zbiór patrzył na mnie starszy ode mnie gość, lysiejący nawet z lekką ubrawną w sportową, rozpiętą pod szyją koszulę. U nog warował mu wielki czarny wilczur. Dalej były zdjęcia z Paryża takie, jakien się spodziewałem przy wizyci Eifla, przed pałacem Inwalidów, przed Louvrem itd. Po tym następował portret w korporanckiej czapce, przy spadzie, ze wstęgą biegnącą w poprzek piersi, fotografia w gronie podobnie wyszytlowanych kolegów z kielichami w dłońach. I tak dalej i tak dalej, aż do nagusa na niedźwiedziej skórze.

Od dłuższej zresztą chwili nie zwracałem uwagi na oglądane fotografie. Przysłuchiwałem się jak narastał w płatinie szkieleł żyrandola cichutki, uparty dźwięk. Nie, nie myliłem się, oto żyrandolowy zawórowały szyby w oknach a zwłaszcza jedna, widąc luźniej obsadzona, dzwoniła zupełnie wyraźnie. Podniosłem do góry dłoń ostrzegawczym gestem. Wówczas oni przestali szeleścić kartkami i zastęgli tak jak aktorzy w ostatnim akcie „Wesela”. Na dole w kwaterek oficerów ktoś raz i drugi chlapanął głośno drzwiami. Radosne przecucie przerodziło się w mym mózgu prawie w pewność. Pożegnanie z pałami nosiło cechy niejakiego popłochu. Gnałem za wikarem po schodach pałacu tak prędko jakby ta rudera już waliła mi się na plecy. Tym razem pożegnał mnie szybko i biegł prawie zszosą ku plebanii.

Niepotrzebnie się spieszył miał jeszcze tydzień czasu na to, aby przygotować się do zmian jakie miały nadejść dla tej części kraju.

Przez cały ten tydzień nie podobna było usiedzieć na miejscu zwłaszcza, że „Witek” znikł z okolicy, a na punkcie w Hoinach Strynkiewicz mógł nam niewiele powiedzieć. Twierdził on że „Witka” przytrzymali towarzysze w mieście i zaprzegli go tam do jakiejś pilnej roboty.

Sądzone nam było, że właśnie w tym momencie siedzieć będzie my z założonymi rękoma.

Jakoż w dniu tym gdy ofensywa przetaczała się przez naszą wioskę, tkwiliśmy ze Stasiakiem przy oknie gapiąc się na czolgi, które z łoskotem mknęły po szosie jak rozwścieczone słonie. Spod gąsienic brzygają w górę zmarznięte

— Tak — podjęła dziedziczka — i oto ci sami chłopci, dla których poświęcił najlepsze lata swego życia, przywieśli go do zguby, wydali w ręce oprawców.

— Mówią — wtracił wikary cicho — że w tej sprawie maczał ręce Braun...

— Och, nigdy bym nie posadzał o takie lotrostwo tego człowieka. Był i jest nadal zbyt oddany naszej rodzinie.

Nastąpiła chwila najzupełniejszej ciszy.

Cisza była zupełna, zląkłem się, iż obecni posłyszają szmer wywołany przez wszy, buszujące mi pod kosszłą.

Rozpocząłem się oglądanie albumu. Z fotografii otwierając zbiór patrzył na mnie starszy ode mnie gość, lysiejący nawet z lekką ubrawną w sportową, rozpiętą pod szyją koszulę. U nog warował mu wielki czarny wilczur. Dalej były zdjęcia z Paryża takie, jakien się spodziewałem przy wizyci Eifla, przed pałacem Inwalidów, przed Louvrem itd. Po tym następował portret w korporanckiej czapce, przy spadzie, ze wstęgą biegnącą w poprzek piersi, fotografia w gronie podobnie wyszytlowanych kolegów z kielichami w dłońach. I tak dalej i tak dalej, aż do nagusa na niedźwiedziej skórze.

Od dłuższej zresztą chwili nie zwracałem uwagi na oglądane fotografie. Przysłuchiwałem się jak narastał w płatinie szkieleł żyrandola cichutki, uparty dźwięk. Nie, nie myliłem się, oto żyrandolowy zawórowały szyby w oknach a zwłaszcza jedna, widąc luźniej obsadzona, dzwoniła zupełnie wyraźnie. Podniosłem do góry dłoń ostrzegawczym gestem. Wówczas oni przestali szeleścić kartkami i zastęgli tak jak aktorzy w ostatnim akcie „Wesela”. Na dole w kwaterek oficerów ktoś raz i drugi chlapanął głośno drzwiami. Radosne przecucie przerodziło się w mym mózgu prawie w pewność. Pożegnanie z pałami nosiło cechy niejakiego popłochu. Gnałem za wikarem po schodach pałacu tak prędko jakby ta rudera już waliła mi się na plecy. Tym razem pożegnał mnie szybko i biegł prawie zszosą ku plebanii.

Niepotrzebnie się spieszył miał jeszcze tydzień czasu na to, aby przygotować się do zmian jakie miały nadejść dla tej części kraju.

Przez cały ten tydzień nie podobna było usiedzieć na miejscu zwłaszcza, że „Witek” znikł z okolicy, a na punkcie w Hoinach Strynkiewicz mógł nam niewiele powiedzieć. Twierdził on że „Witka” przytrzymali towarzysze w mieście i zaprzegli go tam do jakiejś pilnej roboty.

Sądzone nam było, że właśnie w tym momencie siedzieć będzie my z założonymi rękoma.

Jakoż w dniu tym gdy ofensywa przetaczała się przez naszą wioskę, tkwiliśmy ze Stasiakiem przy oknie gapiąc się na czolgi, które z łoskotem mknęły po szosie jak rozwścieczone słonie. Spod gąsienic brzygają w górę zmarznięte

rekomą lud nasz chwyci za gardło drugiego największego wroga — komintern.

Przyglądziłem mimowoli włosy na głowie, miałem bowiem uczucie, że mi się zjeżyły.

— Tak — podjęła dziedziczka — i oto ci sami chłopci, dla których poświęcił najlepsze lata swego życia, przywieśli go do zguby, wydali w ręce oprawców.

— Mówią — wtracił wikary cicho — że w tej sprawie maczał ręce Braun...

— Och, nigdy bym nie posadzał o takie lotrostwo tego człowieka. Był i jest nadal zbyt oddany naszej rodzinie.

Nastąpiła chwila najzupełniejszej ciszy.

Cisza była zupełna, zląkłem się, iż obecni posłyszają szmer wywołany przez wszy, buszujące mi pod kosszłą.

Rozpocząłem się oglądanie albumu. Z fotografii otwierając zbiór patrzył na mnie starszy ode mnie gość, lysiejący nawet z lekką ubrawną w sportową, rozpiętą pod szyją koszulę. U nog warował mu wielki czarny wilczur. Dalej były zdjęcia z Paryża takie, jakien się spodziewałem przy wizyci Eifla, przed pałacem Inwalidów, przed Louvrem itd. Po tym następował portret w korporanckiej czapce, przy spadzie, ze wstęgą biegnącą w poprzek piersi, fotografia w gronie podobnie wyszytlowanych kolegów z kielichami w dłońach. I tak dalej i tak dalej, aż do nagusa na niedźwiedziej skórze.

Od dłuższej zresztą chwili nie zwracałem uwagi na oglądane fotografie. Przysłuchiwałem się jak narastał w płatinie szkieleł żyrandola cichutki, uparty dźwięk. Nie, nie myliłem się, oto żyrandolowy zawórowały szyby w oknach a zwłaszcza jedna, widąc luźniej obsadzona, dzwoniła zupełnie wyraźnie. Podniosłem do góry dłoń ostrzegawczym gestem. Wówczas oni przestali szeleścić kartkami i zastęgli tak jak aktorzy w ostatnim akcie „Wesela”. Na dole w kwaterek oficerów ktoś raz i drugi chlapanął głośno drzwiami. Radosne przecucie przerodziło się w mym mózgu prawie w pewność. Pożegnanie z pałami nosiło cechy niejakiego popłochu. Gnałem za wikarem po schodach pałacu tak prędko jakby ta rudera już waliła mi się na plecy. Tym razem pożegnał mnie szybko i biegł prawie zszosą ku plebanii.

Niepotrzebnie się spieszył miał jeszcze tydzień czasu na to, aby przygotować się do zmian jakie miały nadejść dla tej części kraju.

Przez cały ten tydzień nie podobna było usiedzieć na miejscu zwłaszcza, że „Witek” znikł z okolicy, a na punkcie w Hoinach Strynkiewicz mógł nam niewiele powiedzieć. Twierdził on że „Witka” przytrzymali towarzysze w mieście i zaprzegli go tam do jakiejś pilnej roboty.

Sądzone nam było, że właśnie w tym momencie siedzieć będzie my z założonymi rękoma.

Jakoż w dniu tym gdy ofensywa przetaczała się przez naszą wioskę, tkwiliśmy ze Stasiakiem przy oknie gapiąc się na czolgi, które z łoskotem mknęły po szosie jak rozwścieczone słonie. Spod gąsienic brzygają w górę zmarznięte

— Tak — podjęła dziedziczka — i oto ci sami chłopci, dla których poświęcił najlepsze lata swego życia, przywieśli go do zguby, wydali w ręce oprawców.

— Mówią — wtracił wikary cicho — że w tej sprawie maczał ręce Braun...

— Och, nigdy bym nie posadzał o takie lotrostwo tego człowieka. Był i jest nadal zbyt oddany naszej rodzinie.

Nastąpiła chwila najzupełniejszej ciszy.

Cisza była zupełna, zląkłem się, iż obecni posłyszają szmer wywołany przez wszy, buszujące mi pod kosszłą.

Rozpocząłem się oglądanie albumu. Z fotografii otwierając zbiór patrzył na mnie starszy ode mnie gość, lysiejący nawet z lekką ubrawną w sportową, rozpiętą pod szyją koszulę. U nog warował mu wielki czarny wilczur. Dalej były zdjęcia z Paryża takie, jakien się spodziewałem przy wizyci Eifla, przed pałacem Inwalidów, przed Louvrem itd. Po tym następował portret w korporanckiej czapce, przy spadzie, ze wstęgą biegnącą w poprzek piersi, fotografia w gronie podobnie wyszytlowanych kolegów z kielichami w dłońach. I tak dalej i tak dalej, aż do nagusa na niedźwiedziej skórze.

Od dłuższej zresztą chwili nie zwracałem uwagi na oglądane fotografie. Przysłuchiwałem się jak narastał w płatinie szkieleł żyrandola cichutki, uparty dźwięk. Nie, nie myliłem się, oto żyrandolowy zawórowały szyby w oknach a zwłaszcza jedna, widąc luźniej obsadzona, dzwoniła zupełnie wyraźnie. Podniosłem do góry dłoń ostrzegawczym gestem. Wówczas oni przestali szeleścić kartkami i zastęgli tak jak aktorzy w ostatnim akcie „Wesela”. Na dole w kwaterek oficerów ktoś raz i drugi chlapanął głośno drzwiami. Radosne przecucie przerodziło się w mym mózgu prawie w pewność. Pożegnanie z pałami nosiło cechy niejakiego popłochu. Gnałem za wikarem po schodach

RECENZJE TEATRALNE

Wydawnictwa muzyczne

Państwowy Teatr Śląski im. St. Wyspiańskiego w Katowicach. — Adam Ważyk: „Bankierów ruin”, komedia w trzech aktach. Reżyseria: Wanda Wróblewska. Dekoracje: Wiesław Makojnik.

Adam Ważyk napisał obrazek, rodzajowy z Warszawy anno 1945. Komedię z dyskretną podszewką moralną, rozgrywającą się w środowisku kanclarzy mniejszego, większego i dużego formatu; komedię o inteligentym, dowcipnym dialogu scenicznym i wesółym, który powinien na chwilę budzić śmiech na widowni. Ważyk zawsze stara się rozdzielić sprawiedliwie światła i cienie na swe postaci. W „Starym dworku” przeszarżował trochę. Ale tutaj zagalował się tak dalece, że im człowiek „gorzej urodzony”, tym większa świnia; najpaskudniejszą snobką, miltomanką i szachrajką jest w „Bankierów ruin” dziewczyna pochodząca z ludu. Oto skutki zbyt przeczułonej wagi, bo kogo jak kogo, ale Ważyka chyba nikt o kryptoreakcyjności nie poślądzi.

Podczas przedstawienia „Bankierów ruin” w Katowicach nie było wesołości na widowni, bo nie było jej też na scenie. Nie wiadomo, co strzeliło reżyserce do głowy, że te komedie przetransponowała z obrzydliwym wysiłkiem na tragedię prawie na „białą tragedię” bez trupów... Kanclarzy wyprętała z lekkością i niefrasobliwością warszawskiej; do każdego zdania przywiązała kamień młyński, że dowcip utonął, a na scenie roztoczyła się atmosfera wampiryzmu i demoniczności. Biedny Ważyk sam rozplakałby się na swej komedii. Życze mu, by w warszawskiej „Placówce” Perzanowska pokazała „Bankierów ruin” takich, jakich napisał.

W Katowicach powierzono reżyserię debiutantce. Błąd nie do wybaczenia. Już w zeszłym sezonie reżyserowała w Katowicach dobrą sztukę Krystyny Grybowskiej, „Siostry”, debiutant, i nie wyszło to sztuce na zdrowie. „Komedianta” Bodnickiego, sztukę co prawda bardzo słabiutką, oddano w Krakowie również w dziedzinie ręki młodego reżysera, który dobił ją do reszty. Niech sobie reżyserują „Prędo”, jemu nie nie zaszkodzi, ale startujących autorów powinno się otoczyc czułą opieką, przecież nie mamy ich znów tak wielu — powinniśmy się ich poprzec i wesprzeć najdłużej reżyserami i aktorami.

Z wykonawców „Bankierów ruin” jedyną Mieczysława (Doboszowa) odtwarzała to, co stworzył Ważyk. Reszta zespołu konsekwentnie realizowała fałszywą koncepcję reżyserki, ale w ramach tej koncepcji grała bez zarzutu. Dialogi Elizy z Tornerem (Wydrzyńska i Hierowski) pozwalały się domyślać, żeka by to była zabawa, gdyby to nie była tragedia. Erwan (Przeński) znalazł rolę niczym na jubleusz. Rydel (Feliks) rozwija się w tempie przyspieszonym Zardecki (Kobuz) wyglądał zbyt młodo i delikatnie jak na żołnierza, który brał udział w hiszpańskiej wojnie domowej; ale zrobił sobie tak sugestywne wejście, że aż zastanawia skąd chłopak, który jest pierwszy rok na scenie, bierze tyle siły. Będzie z niego prawdopodobnie aktor w rodzaju Łomnickiego, o którego stawaliśmy w „Odrodzeniu” po jego „chłopcu z deszczu” („Dwa teatry”) i który, jak się to mówi: „nie zawiódł pokładanych w nim nadziei”.

Dyrektor Krasnowiecki ma w zespole kilku młodych ludzi, czyniących pierwsze kroki na scenie; powierza im nieraz role odpowiedzialne i wkracza trafia. Rydłowi oddał w „Krakowiakach i górach” swoją rolę Bardosa i Rydel mu wystąpił nie zrobił Trudną partię Stacha w tej sztuce kazał śpiewać i tańczyć Zardeckiemu i Zardecki śpiewał i tańczył jak stary. Młodzikiem debiutantce, Krystynie Mieczkównie, wpakował od razu Klare w „Ślubach pańskich” i dała sobie doskonale radę, a jej Esterka w „Uczniu diabła” zniewoliła twardego Jaszca w „Dzienniku Polskim” do najczulszych komplementów... Zresztą podobne eksplozje talentu wydarzają się i w innych teatrach, szczególnie w mniejszych (Kielce, Bielsko, Opole), — więc ma scena polska zapewnioną jak najlepszą przyszłość. Trzeba tylko jeszcze znaleźć kilku nowych, dobrych polskich autorów dramatycznych...

Miejski Stary Teatr w Krakowie. — Konstanty Simonow: „Harry Smith odkrywa Amerykę” sztuka w trzech aktach. Przekład: Aleksander Bałłowski. Reżyseria: Władysław Krzeminski. Dekoracje: Andrzej Stopka.

Sławna sztuka Simonowa, znana pod tytułem „Zagadnienie rosyjskie” w Rosji, w Łodzi, w Poznaniu, w Londynie i w kilku miastach amerykańskich, zagrano w Krakowie pod tytułem „Harry Smith odkrywa Amerykę”... Znamostwo utworu chciano podobno przeprowadzić jeszcze radykalnie i na afizku miało nazwiska Konstantego Simonowa umieszczyć nazwisko — Jerzego Zawiańskiego, ale publiczność poznałaby się pewnie na tej mistyfikacji, bo sztuka zbyt dobra.

3. Państwowa Muzyczna Rada Wydawnicza przy Polskim Wydawnictwie Muzycznym zebrała się onegdaj w Warszawie. Obrady trwały dwa dni. W zasadzie rada — której członkowie mianowani są przez Ministra Kultury i Sztuki i która jest ciałem doradczym i opiniodawczym przy Ministerstwie — kierować powinna całym muzycznym ruchem wydawniczym w Polsce. W praktyce zakres jej prac ograniczał się dotychczas do największego naszego Polskiego Wydawnictwa Muzycznego. Ze sprawozdań wstępnych dowiedzieliśmy się ciekawych szczegółów i cyfr: Od wojny wydano blisko 200 pozycji, czyli że nasza dawniejsza produkcja została pobita i zdzinstansowana na głowę. Pozytycznie wydano w 335 000 egzemplarzy. Z tego, w cyfrach okrągłych, 46 200 z przeznaczeniem dla estrad koncertowych i 171 000 dla t. zw. „upowszechnienia”. Piszę „tak zwanego”, bo termin ten coraz bardziej dolega, brzmia, jak gdyby dzielono muzykę na jakąś „upowszechnioną” i inną, „czystą” czy „prawdziwą”. O problemie tym pisał — w odniesieniu do literatury — Borejsza. W muzyce jest to samo. Upowszechniać trzeba dobrą muzykę, a basta. Może być ona dawniejsza, czy specjalnie dla tego celu tworzona, lecz nie może być inna, „pietrowa”. Jedną dla mas, drugą dla znawców. Jeśli masy nie są przygotowane do słuchania „Fatetycznej” Czajkowskiego, to na koncertach objazdowych dać im trzeba dobrą muzykę łatwiejszą, lecz nie jakąś inną, „upowszechnioną”.

3. Stefan Otwinowski: „Dobra wroźba”, komedia w trzech aktach. Reżyseria: Włodzimierz Ziemiński. Dekoracje: Andrzej Stopka. Zrodzona w przerwach prapremiery opinia, jakoby „Dobra wroźba” była złą sztuką, jest dobrego poniekąd komplementem. bo „Dobra wroźba” to w ogóle nie sztuka, — ale niewątpliwie dzieło sztuki. Delikatna nowela o cieniutkich dialogach, sentencjach i maksymach, o iskierkach punkt tak nietych, że nie potrafią rozpaść widowni, bo przeważała gęną jeszcze po tamtej stronie rampy.

3. Jest w utworze Otwinowskiego spora dawka poezji; jest dobrego gatunku humor; są żywi ludzie. Ale tuż obok — papier; papier co prawda najprzedniejszej sorty, weliin, powiedzmy, Rzemiosło dramatyczne jeszcze gorsze niż w „Wielkancy”, chwilami: dyktancji. Nie ma akcji, są za to monolog — z musu nie ze stylizacji (...dlaczego ten zdolny powieściopisarz uparł się, by robić sztuki teatralne?). I od czasu do czasu irytujący brak znajomości swych własnych bohaterów. Jest tam na przykład taki kulturalny ziemianin, który wyrabia bardzo artystyczne lalki, a nie wie (anno 1947!), kim właściwie był Merks... (Przypomina się Ważyk z tym swoim sławnym polowaniem na kaczki... z charta mi).

Jeeszcze jeden powrót! Tym razem wraca z Anglii inwalida — deklamator, i to w ostatniej chwili, bo już mia... mu sprzed nosa sprznącą narzeczoną inny deklamator, który swą szlachetną deklamacją rozbudza trochę gniazdo rezydentów, leniuchów, mamutów, symulantów i łagodnych wariatek — i w nagrodę za to chciałby porwać z gniazda pannę domu, ale porywa tylko, pozyskanego dla nowej rzeczywistości, darmozjadą.

3. Stary Teatr obszedł się z „Dobłą wroźbą” — jak najcieciełowiej. Ziemiński obsadził ją dobrymi aktorami (Relewicz Barwińska, Karbowski, Mroźewski, Luboradzki) zagrali sam nader niewdzięczną rolę jednego z deklamatorów; wryżerował sztukę z całą gorliwością, szedł autorowi z pomocą, gdzie tylko mógł, wytworzył autentyczny nastrój próchniejącej mamutowiny, który wzmocnił jeszcze Stopka swą dekoracją. Tak właśnie powinny dyrekcje podchodzić do młodych dramatyków: grać nawet ich słabsze utwory i dać im na poparcie najsilniejsze barki.

Artur Marya Swinarski

Film • Film • Film • Film •

RODZINA FROMENT

Ta francuska saga rodu Forsytów, obejmująca cztery pokolenia pomiędzy latami 1870 a 1939, posiada wyraźny sens polityczny. Prześuwające się przez ekran daty pokazują, iż na trzy pokolenia przypadają aż trzy niesporowokowane agresje niemieckie na Francję. Zaraz na wstępie częstuje nas Duvivier wycinankami z niemieckiego Wochenschau z czerwca 1940 r.: wśród głuchej ciszy artyleria niemiecka przejeżdża przez Pola Elizejskie. Na chodniku obok Arc de Triomphe stoi garstka apatycznych cywilów.

Rodzina Froment nie jest żadną nadzwyczajną rodziną, nie jest bynajmniej jedną z owych legendarnych pięciuset, które rządziły Francją. Przeciwnie. Fromentowie to typowi mieszczańscy francuscy, których tiersowska III republika wyciąga z nizin społecznych i pozwala im szybko porastać w piórka. To też akcja tocząca się w 1870 w wiejskiej chałupie na Montmartre, przenosi się w 1900 do saloników w stylu secesji, a w 1921 do wnętrza nowoczesnego domu mód, urzędzonego z amerykańskimi zbytkiem.

Procesy awansu społecznego przebiegają zresztą dwukierunkowo: degradacja społeczna reprezentuje gieldziarz-Marsylczyk, lądujący na stanowisku dozorcy, Duviviera, który lubi szermować niespodziankami montażu, wprowadzając nawet tak egzotyecznych członków rodziny, jak ginącego w dzungli afrykańskiej pioniera kolonialnego, czy szefa tragicznej ekspedycji lotniczej w Kordyliarach.

Wszystko to jednak dzieje się niedaleko na marginesie tematu głównego, a tym jest właśnie sprawa trzykrotnych inwazji niemieckich i ich wpływu na losy rodziny Froment. Istotnie każda z nich wyrwa któregoś z członków rodziny i każe mu ginąć za ojczyznę. Nie podoba się to reżyserowi, który raz po raz zmusza widza do refleksji, zupełnie zresztą niegłębokich, na temat: dlaczego atakuje się ludzi, którzy chcą żyć, kochać się i zarabiać.

I w tym kluczowym punkcie polski widz wymyka się z pod uroku Duviviera. Film jest płacziwy, skarży się: „Myśmy im nie nie zrobili, więc czemu oni?” W ten sposób nie szerzy się prawdy, ani

sensu loszmarznych lat, które przeżyliśmy. Ale najbardziej rażący i niewłaściwy jest końcowy wydźwięk filmu: ostatni potomek rodziny Froment zmobilizowany odchodzi w 1939 r. Jego dzadkowo modła się: „Byle tylko wrócił! Niech się dzieje, co chce, byle tylko wrócił!”

Z takich nastrojów wyrosło w wymierającej Francji — Vichy.

BITWA O SZYNY

W cisy gabinetu wielkiego dworca, na wielkim kratkowanym arkuszu, rysuje się wykresy ruchu poszczególnych pociągów. Plan racjonalnej cyrkulacji narzuca niemiecki okupant — kolejarz francuski ze swej strony stara się równoległe linie wykresu pogmatwać, spłatać i poprzerywać. Wybuchają kotły parowozów, wylatują w powietrze węzłowe mosty, wykołują się pociągi. Padają salwy plutonów egzekucyjnych i giną w walce o szyny iśni partyzanci.

Ale nadchodzą zwycięstwo, Marsylianka i trójkolorowe sztandary. I znów w cisy gabinetu wielkiego dworca, na wielkim kratkowanym arkuszu, rysuje się wykresy ruchu poszczególnych pociągów. Teraz stać się mają jak najrównoległsze.

Taka jest treść i sens reportażu René Clementa, którego trud reżyserki nagrodzono w Cannes złotym medalem.

Francuzi nie lubią filmów wojennych. Pamiętamy sprzed 1939 budujące reportaże z fortów linii Maginota, na których wypisywano czarno na białym „On ne passe pas!” (wstęp wzbroniony). To, oczywiście, wzmagało znakomicie poczucie bezpieczeństwa francuskiego mieszczaucha. Była to swoista realizacja Monachium na odcinku filmowym.

Za wcześniej sądzić, czy ta niechęć do motywów wojennych, na korzyść bukolicznych akwarelek, została po wojnie przetrwałana, czy nie. W każdym razie widz polski otrzymał na koniec filmu — doskonale zrobiony reportaż z działalności francuskiego ruchu oporu na odcinku kolejowym. Przynajmniej od razu; reżyserowi powiodło się ambitne zamierzenie skonstruowania syntezy ruchu oporu. Droga, która obrał była umiarkowanego realizmu. Na żadnym odcinku kolejjarze Clementa nie są wystylizowanymi schematami z „Ostatniego etapu”. Maszynista, który zgodził się wykołeci pociąg w pełnym biegu, wcale nie ginie w bohaterkiej pozie, lecz najpierw ma wyraźnego stracha, a potem ratuje się, wyskakując. Zadanie swoje przecież wypełnia.

Scenariusz Clementa nie idzie po łatwej linii prowadzenia akcji do wątków indywidualnych doznań i reakcji. Reżyseria Clementa ukazuje jednak masy ludzkie w zupełnie innym, niż eisensteinowskie, ujęciu. Wprost boję się używać słowa „masy”.

Thum w „Bitwie o szyny” jest pokazany przez niewielu reprezentantów typowych dla swego środowiska. Majstersztyk em roboty reżyserkiej jest właśnie fakt że ci reprezentanci nie p-zestają być tłumem, nie stają się jednostkami. Celowi temu służy anonimowość postaci, wielość nieznanych twarzy, które ukazują się zwykle dla od-tworzenia jednego tylko epizodu — nawet bezimiennność aktorów. którym są — kolejarze francuscy.

Thum w „Bitwie o szyny” jest pokazany przez niewielu reprezentantów typowych dla swego środowiska. Majstersztyk em roboty reżyserkiej jest właśnie fakt że ci reprezentanci nie p-zestają być tłumem, nie stają się jednostkami. Celowi temu służy anonimowość postaci, wielość nieznanych twarzy, które ukazują się zwykle dla od-tworzenia jednego tylko epizodu — nawet bezimiennność aktorów. którym są — kolejarze francuscy.

Thum w „Bitwie o szyny” jest pokazany przez niewielu reprezentantów typowych dla swego środowiska. Majstersztyk em roboty reżyserkiej jest właśnie fakt że ci reprezentanci nie p-zestają być tłumem, nie stają się jednostkami. Celowi temu służy anonimowość postaci, wielość nieznanych twarzy, które ukazują się zwykle dla od-tworzenia jednego tylko epizodu — nawet bezimiennność aktorów. którym są — kolejarze francuscy.

Książki • Książki • Książki • Książki

BELETRYSTYKA „ŚWIĘTOKRADKA”

Tadeusza Kudłinskiego

Powieść, Warszawa, Książnica Atlas, 1947; str. 436.

Dziwna książka. Część pierwsza — „Pelnia” — bardzo piękna. Opis niezwykłej inscenizacji „Hamleta”, balu, miłości Adama i Heleny — wyszedł spod pióra wielkiej miary artysty, bardzo ludzkiego, bardzo czułego na barwę, dźwięk i uczucie. Część druga — „Now” — początkowo niepokojąca (historia szalenstwa malarza-kaleki), później dziwaczna i trochę śmieszna (konspiracja, jakiej nigdy nie było i być nie mogło), w końcu znówu ciekawa i niepokojąca (wiezieniu, wydobycie Adama z więzienia za cenę zdrady Janki). Część trzecia wreszcie — „Nowik” — już tylko dziwaczna i przykra. Stronice, na których główny bohater powieści, Adam, poparty przez sympatyzującego z nim autora, poważnie głosi hasła ideologicznego i praktycznego powrotu do średniowiecza, trudno czytać bez ostrego sprzeciwu wewnętrznego. Tym ostrzejszego, że z poprzednich, miejscami bardzo frapujących intelektualnie, części dałoby się wyciągnąć zupełnie inne wnioski. Całość jest napisana oryginalną i bogatą polszczyzną, ukraszona wstawkami poetyckimi, — i, niestety, bardzo niewyraźna w swym ostatecznym wydźwięku.

Wiktor Woroszyński

„WERPEY”

Leopolda Buczkowskiego

Powieść, Warszawa, Gebethner i Wolff, 1947; str. 229 i 1 n.

Nie wiem czemu książka Buczkowskiego, ukończona w 1937 roku, nie została wydana przed woj-

nym odcinku kolejjarze Clementa nie są wystylizowanymi schematami z „Ostatniego etapu”. Maszynista, który zgodził się wykołeci pociąg w pełnym biegu, wcale nie ginie w bohaterskiej pozie, lecz najpierw ma wyraźnego stracha, a potem ratuje się, wyskakując. Zadanie swoje przecież wypełnia.

Scenariusz Clementa nie idzie po łatwej linii prowadzenia akcji do wątków indywidualnych doznań i reakcji. Reżyseria Clementa ukazuje jednak masy ludzkie w zupełnie innym, niż eisensteinowskie, ujęciu. Wprost boję się używać słowa „masy”.

Thum w „Bitwie o szyny” jest pokazany przez niewielu reprezentantów typowych dla swego środowiska. Majstersztyk em roboty reżyserkiej jest właśnie fakt że ci reprezentanci nie p-zestają być tłumem, nie stają się jednostkami. Celowi temu służy anonimowość postaci, wielość nieznanych twarzy, które ukazują się zwykle dla od-tworzenia jednego tylko epizodu — nawet bezimiennność aktorów. którym są — kolejarze francuscy.

Thum w „Bitwie o szyny” jest pokazany przez niewielu reprezentantów typowych dla swego środowiska. Majstersztyk em roboty reżyserkiej jest właśnie fakt że ci reprezentanci nie p-zestają być tłumem, nie stają się jednostkami. Celowi temu służy anonimowość postaci, wielość nieznanych twarzy, które ukazują się zwykle dla od-tworzenia jednego tylko epizodu — nawet bezimiennność aktorów. którym są — kolejarze francuscy.

Stąd klasyfikacja na „estrady i „upowszechnienie” jest bardzo trudna i uważać ją należy przede wszystkim za skrót myślowy. Operując jednak nadal, dla uproszczenia, tymi terminami, dowiedzieliśmy się że z ogólnej cyfry sprzedaży sprzedano 17% materiału dla „estrad koncertowych”, 27% dla szkół muzycznych i 55% dla „upowszechnienia”. W pierwszym kwartale 1948 roku wpływy miesięczne ze sprzedaży sięgały milionów złotych a 30 pozycji wydawniczych jest wyprzedanych (11 dla estrad, 8 dla szkół, 11 dla upowszechnienia).

Cyfrы te wykazują bezpodstawność zarzutów, którym: krytyka obarcza w niektórych artykułach Polskie Wydawnictwo Muzyczne. Nie przypuszczam, by chodziło tu o złą wolę i o rzucanie kiód pod nogi tej wspaniale funkcjonującej placówce. Wolę myśleć, że jest to tylko wynikiem niezajomości faktycznego stanu rzeczy. Można zmieścić i poprawić niejedno, lecz nie można przeczyć, by praca PWM była celowa i użyteczna.

Komisie Rady przystąpią teraz do opracowania szczegółowego planu wydawnictwa na najbliższą przyszłość. Poza jubileuszowym wydaniem Chopina, o którym napiszę osobno, uznano za najpilniejsze potrzeby szkolnictwa, bez którego nie sposób planować racjonalnego u-przysiępienia muzyki szerokim warstwom społeczeństwa ani wy-obrać sobie życia muzycznego kraju. Obok materiału pedagogicznego PWM wydawać ma tak nowy jak i dawniejszy materiał nadający się do rozpowszechnienia „w tere-

nie” oraz muzykę — jak dotychczas — ochrzczone mianem „estradowej” z tym, że w dziale tym uznano muzykę współczesną za dziedzinę powierzoną specjalnej pieczy tej instytucji. PWM nie jest bowiem jedynym naszym wydawcą współczesnego, wydanie dzieła współczesnego nie jest pilniejszą potrzebą od wypełnienia luk wydawniczych z przeszłości. Jednakże chodzi o to, by nie powtarzały się błędy popełnione dawniej: krzywdy w stosunku do kompozytorów żyjących, krzywdy, które sprawiły, że pokolenie Nowskich, Zelenkich, Stankowskich i Moniuszków nie doczekają się za życia wydania swych dzieł. Dlatego to PWM ma być nadal tą placówką która pozwala normalnie żyć i rozwijać się polskiej twórczości: muzycznej.

Wydawany pod auspicjami PWM dwutygodnik „Ruch Muzyczny” ukazuje się regularnie od pierwszych chwil po uwolnieniu i w stosunku do przedwojennych nakładów pism tego rodzaju — cieszy jego stale wzrastają Rada przyjeła też z zadowoleniem do wiadomości fakt wzniesienia pisma o bardziej specjalnym obliczu. „Kwartalnika Muzycznego”, którego pierwszy numer ukaza się wkrótce.

Nie rozpatrując na razie działalności innych firm wydawniczych, zebranie Państwowej Muzycznej Rady Wydawniczej zakończy swe obrady wyznaczając terminy zjazdów komisji, które ustalą wykaz dzieł do wydania w 1948 i 1949 roku.

Zygmunt Mucielski

na. Prawdopodobnie odegrały tu rolę jakieś uboczne względy, ale nie wydaje mi się pozbawioną podstaw i ta hipoteza, że to cenzura nie godziła się na wydanie książki o kresowej wsi polskiej. Taka jest bowiem siła dominujących w naszej epoce motywów politycznych, że książka z pozoru tym sprawom najdalej okazać się może przy „bliższym oglądzie” bezpodstawnie im podporządkowana.

I tak bezładnie, ponura opowieść Buczkowskiego o wegetujących wroscie opowieść naturalistyczna, obnażająca z pozoru jedynie pewne elementy natury ludzkiej okazuje się przecież i słowem jakiegoś oskarżenia. U podstaw tej smutnej książki leży nie żaden ekspresjonistyczny grymas, wyrażający nieokreślony metafizyczny niepokój. Jeśli wyraża ona „sól istnienia” w określonym miejscu i w określonym czasie.

„Zarnowiecki” zostawił robotę koło tracki, biegł po wsi, wypytywał: — Bezkiżki, wy Polak? — A szczo będzie? — Do szkoly idziecie, narada będzie.

— Karcaba, wy Polak? — Karcaba, chłop ogromny i powolny, jak stary wół, pocierając czarnymi palcami zapocony łeb, zapytał: — Co znaczy Polak? — Cholera was wi, jak to powiedział, żebyście 10zamieli.

Buczkowski wie „jak powiedzieć”, co to była kresowa zapadła wieś przed wojną. Dziwna, ciemna miłość nauczycielki Chrobowskiej i księdza Samoszczyńskiego, sprawy koniokrada Huka, ojcowski daremny trud Szeremety, by jego Tomku „wyszedł na ludzi”, postaci policjantów — wszystko to utopione w strzępiące się, luźno skomponowanej opowieści, daje obraz dziwnego życia prawdziwego, przecie — z ulgą się myśli: Kiedyś, gdzieś...

R. Bratny

PRZEKŁADY

„ROK 1793”

Wiktor Hugo

Warszawa, „Wiedza”, 1948; str. 434.

Stary Wiktor Hugo wcale się nie zestarzał. Wprawdzie wracając do jego powieści czyta się ją z większym krytycyzmem niż we wczesniej młodości (któż w swoim czasie nie przyzywał wielkich wzruszeń nad lekturą „Nędzników” czy „Dzwonnika z Notre-Dame”? ale patetyczne malowidła słabną i nieomal całkiem zanikają wobec nieprzemijających uroków narracji wielkiego romantyka.

Spół. Wyd. „Wiedza” przystąpiła właśnie do wydania powieści Wi-

ktora Hugo i redakcję „Dzieł” powierzyła Jarosławowi Iwaszkiewiczowi. Na początek ukazał się „Rok 1793” w dobrym przekładzie Juliana Maliniaka. To grube tomiśko pochłania się jednym tchem. Cóż za wspaniały rozmach epiki w tej powieści osnutej na tle wojny domowej w Wandei! Jaka przy tym ostrość i dramatyczność dialogów i jaka imponująca trafność w zwiezłym wartościowaniu czynów, zdarzeń i charakterów. Po-tomno pewnie, epoce właściwej ko-turkowej stylizacji bonatery Wik-tora Hugo żyją i ich potężne sylwetki, wsparte przeważnie na jed-nej namietności lub jednej idei, na długo pozostają w pamięci. Warto wracać do autora „Nędzników” ja

POPULARYZACJA WIEDZY

„PRZECHADZKI ATEŃSKIE”

Władysława Witwickiego

Warszawa, „Wiedza Powszechna”, 1947; str. 248.

Prof. dr Władysław Witwicki, znany i ceniony pedagog, w osmiu zeszytach „Propyleje”, „Nike bezskrzydła”, „Naokoło Partenonu”, „W Partenonie”, „Powrót z Akropolu”, „O rzeźbach starogreckich”, „Rozkwit rzeźby w Helladzie” oraz „Rzeźba hellenistyczna” daje naj-niezbędniejsze, podstawowe wiadomości z architektury, rzeźby, sztuki plastycznej greckiej. Osiem tych zeszytów stanowi zamknięty cykl — książkę. Jest ona nie tylko podręcznikiem ważnym w szkolnictwie średnim. Każdy czytelnik znaj-dzie w niej dużo wiadomości o starożytniej Helladzie. Dowi się o właściwie znaczy „fryz”, „archi-traw”, „tympanon” itp. Nauczy się odróżniać style budowlane joński, dorycki. Zdobędzie na całe życie solidne podstawy orientacyjne w rzeczach sztuki. Przejrzystość, przystępność wykładu doprowadzona jest przez prof. Wł. Witwickiego do nadzwyczajnego, swoistego tylko jemu gawędziarskiego stylu, trafiającego łatwo do pamięci uczie-nia, samouka, przygodnego czytel-nika, szukaącego treściwej, pouczającej lektury. Z góry trzeba uprzedzić, że „Przechadzki ateńskie” nie zawierają nowych odkryć, nowych syntez. Zadowalałaż to pod każdym względem, jako jasno, przy-stepnie, umiejętnie napisany pod-recznik. Liczne ilustracje siatkowe i barwne znakomicie wspierają i uzupełniają wykład prof. Witwickiego.

Książka ta przy samokształceniu może oddać duże usługi. Prof. dr Witwicki jest wielkim orodowni-kiem hellenistycznej sztuki. Udziela się to i czytelnikowi jego gawędy „Przechadzki ateńskie”.

Z. Moronowicz

W NASTĘPNYM NUMERZE W KĄCIKU KLUBU LITERACKIEGO »ODRODZENIA« ZAMIEŚCIMY WYWIAD WACŁAWEM RZEZACZEM

Terzy Pławewski

## Literatura i ludzie

Czasy, w których żyjemy, mają tę właściwość, że oddzielają od siebie wyraźną oceną nie tylko gatunki literackie, lecz także gatunki ludzkie.

W ostatnim numerze „Nowin Literackich” znajdujemy kolejną wypowiedź Edwarda Csato o realizmie: „Pojęcie to — czytamy — ma jednak tę słabą stronę, że jest mgliste, nieokreślone, uporczywie nie daje się zdefiniować...” Tego rodzaju maćcenie dyskusji, jest ostatnim ogniwem bardzo przejrzystej, naszym zdaniem działalności, mającej na celu świadome zasnucie oparów metnactwa tego co dyskusja o realizmie wyewoluowała już wszystkim. Na przekór jednak próbom Fawarda Csato jesteśmy świadkami unoszenia się oparów metnactwa z wszystkich dziedzin krytyki, nie tylko literackiej. Zasnucie dymna ten ostatni manewr, którym stara się ocalić stracone pozycje, rozwiewa się pod nieubłagany techniem historii; obnaża związki między sprawami polityczno-społecznymi i sprawami każdego człowieka. Czy Csato chce, czy nie chce, czy zdaje sobie z tego sprawę, czy nie — jest właśnie przy-

kładem postaci narysowanej realistycznie, w sensie polityczno-społecznym. Ten sam metnactwo liberalizm, ten sam relatywizm pełen na pozor ludzkich skrępow, charakterystyczny niektórych wypowiedzi naszych pisarzy o sprawach literatury, był właściwy do niedawna całym systemem politycznym. Ale czasy nasze są do brutalności konsekwentne w rozpedaniu zasłon dymnych. Zaprzeszanie o wijania spraw w bawelne. Amerykańskie koncerty filmowe poszły już po tej linii. Miejsce realizmu zajmuje „Eskapizm”. Ekranu zaludniają się duchami i sprawami nie z tego świata. Ale te duchy z amerykańskich filmów, to widma bez ciała, młodzi bracia Edwarda Csato, podczas gdy duchy Armanda Salacrou to ludzie z krwi i kości, walczą o sprawy ludzkie. Walczą o lepsze jutro.

Wystarczy odwiedzić warszawskie knajpy i bary, by zobaczyć amerykański film eskapistyczny. Zobaczymy duchy snujące się po tym niebie bankrutów między stolikami i bufetami, w chmurach dymu i oparach alkoholu, szukające prawdy o życiu w piątkiej czkawce. Jeżeli spotkamy tam Edwarda Csato w charakterze ducha-walcząca, nie będziemy zdziwieni. Przeciwnie potwierdzi, to tylko naszą realistyczną metodę budowania postaci.

Zdarzenia, których jesteśmy współtwórcami, sprzyjają realizmowi. Realistycznemu myśleniu, realistycznemu pisaniu. Doświadczenie uzbroidło nas w okrutny, bezlitosny instrument, pozwalający określić człowieka na podstawie paru wypowiedzi. Więcej, potrafimy nawet przewidzieć, co duch-bywalec powie w przyszłości, w nowej, rozwijającej się ciągle sytuacji.

Jan Rojewski

P. S. Wróć, nic nie było! Może Csato naprawdę nie wie, co to jest realizm, romantyzm, literatura?

je pruskim scenographem i re-daktorem od 1747 do 1766 roku jest w stopniu inżyniera-porucznika urzędniikiem departamentu budowy w pruskiej Kancelarii Wojny i Domen w Wrocławiu. W 1758 roku wstąpił po raz drugi w związku małżeńskie. Umarł we Wrocławiu w 1778 roku.

Pozostawił liczne prace graficzne. Między latami 1730 a 1740 uka-

szę budowę. Na prawym brzegu Wisły widzimy zabudowania Pragi, nie istniejące jeszcze na sztychu ze zbioru widoków miast Bruna i Hogenberga. Ładny jest, również widok Gdańska, ze śmiesznie rozdzielonymi okrętami na horyzontcie. W podróży po Polsce Werner narysował widoki szeregu innych, polskich miast, jak: Nysy, Szczecina, Malborku.



Widok Gdańska z około 1730 r.

zały się w Augsburgu w trzech tomach: „Sławne miasta Europy”. Duży format rycin (110 cm. x 40 cm.) nie wpłynął korzystnie na dochowanie się do naszych czasów pełnych kompletów, stąd nikt nie o nich literatura. Nie ustalono, jakie obejmowały miasta i jakie były odmiany poszczególnych wydań. Reprodukujemy widok Warszawy, oznaczony nr 81 oraz widok Gdańska, oznaczony nr. 46. Piękny jest widok barokowej Warszawy, pełnej wież, chociaż oddany z rozciągniętą perspektywą, aby mogły znaleźć miejsce wszystkie ciekaw-

Homann wydał dzieło Wernera „Scenographia urbium Silesiae”. Na wzmiankę zasługuje również zbiór widoków dwudziestu klasztorów Cystersów na Śląsku, Morawach i w Czechach oraz zbiór widoków 173 protestanckich kościołów. W kilkunastym rękopiśmie porożuczonym po różnych zbiorach zachowała się „Topographia Silesiae” naszego artysty z ręcznie kolorowanymi rysunkami, zawierająca wszystkie ważniejsze budowle śląskie.

Stanisław Szenic

JANUSZ MINKIEWICZ

## CZTERY KALAMBURY LITERACKIE

KISIEL

Kisiel jest to chłopak,  
Co wszystko chciałby na opak,  
Innymi mówiąc słowy,  
To mąż opacznościowy.

### O ZAWISTNEJ POETCE DLA DZIECI PISZĄCEJ

Gdy czyta Brzechwę, boleje  
I ledwie z zardzością na fioleto:  
— Gdyby go... — myśli — ...olejem...  
Bo polska z niej Elza (Wi) Triolet.

KOTT

Kott, jako Zoil jest znany;  
O jego krytycznym zaś plodzie  
Ktoś rzekł: — Standard (Z) Oil Company  
(W nazbyt gorącej wodzie)...

### O WZDYCHAJĄCYM DO ANGLI PISARZU KATOLICKIM

Wciąż się modli pod figurą  
A Churchilla ma za skórą.  
W szych politycznych lamańcach  
Jest do Times'a i do różańca.

## CZYTELNIK.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

OSTATNIE NOWOŚCI

ANTONINA ŻABIŃSKA

### RYSICE

Przemie, żywe i z humorem napisane opowiadanie o dwu młodych rybakach, wychowanych wśród ludzi, w domu dyrektora warszawskiego ZOO. Łącząc prawdę przyrodniczą z atmosferą wyjątkowej przyjaźni dla zwierząt, książeczka stanowi najodpowiedniejszą lekturę dla młodych czytelników.

str 78  
zł 200

ADOLF RUDNICKI

### ŻOŁNIERZE

Powieść

Wspomnienia rekrutkie ilustrujące bolesny często proces przekształcania się cywila w żołnierza. Przedwojenne wydanie książki przyjęte zostało niechętnie przez oficjalną opinię wojskową.

str 166  
zł 280

IRENA KRZYWICKA

### BUNT KAMILA MARTENA

Powieść

Dalszy ciąg „Rodziny Martenów” przedstawia dzieje trupy postępowej młodzieży z lat 1910-tych ubiegłego stulecia. Młodzi buntownicy, walcząc z mieszczańskim środowiskiem i z uściskiem caratu, widzą drogę do wyzwolenia ojczyznę nie w bezradnej walce zbrojnej, lecz w szeroko pojętej reformie stosunków społecznych.

str 89  
zł 300

ZOFIA KOSSAK

### ZŁOTA WOLNOŚĆ

Powieść historyczna  
Wyd. III

Wątek romansowy powieści to tragiczna miłość dwu braci do jednej kobiety. Książkę charakteryzuje doskonała znajomość historycznych, obyczajowych i religijnych stosunków Polski XVII w. Sensacyjne motywy wyjaśniają akcję rozwijającą się na poważnym tle ideologicznym

2 tomy  
zł 750



widok Warszawy z około 1730 r.

w Karyntii, a wkrótce dostaje się w stopniu porucznika do armii hiszpańskiej cesarza Karola VI również z powodu dżumy przymusowo zatrzymanej w Karyntii. Niedługo jednak nosił Werner mundur porucznika; niebawem zostaje kopistą u księcia biskupa Karyntii von Gurka. I tutaj nie zagrzewa miejsca, lecz udaje się w nową wędrowkę poprzez Bratysławę i Monachium do Pragi gdzie na wiosnę 1715 roku spotykamy go na stanowisku „dyrektora maszyn” w teatrze barokowym hr. Sporcka Zamieszany w jakiś pojedynek ucieka do Linzu. Zatrzymuje się wreszcie w Wiedniu, gdzie zdobywa środki do życia tłumaczeniem tekstów operowych dla wędrowniej trupy komediantów. Wreszcie na skutek protekcji hr. Sporcka otrzymuje posadę kancelisty magistrackiego w Ołomuńcu. Mimo nadania mu miejskiego obywatelstwa nie zagrzewa miejsca. Niebawem zostaje zarządcą arsenału gubernatora Kroczy generała hr. Heistera. Jego nowy chlebodawca umiera nieoczekiwanie i Werner w towarzystwie przygodnego wędrownego handlarza książek i sztychów poprzez Wiedeń i Monachium przy-

Hamburgu, który zajmował się angażowaniem malarzy do fabryk porcelanowych. Werner obejmuje kierownictwo transportu 32-tych takich robotników malarskich do nowo założonej manufaktury porcelanowej w Gromingen, po czym zwiedza Holandię, Francję i zachodnie Niemcy. W 1729 roku przebywa w Augsburgu. W następnym roku podróżuje po Włoszech, gdzie w Rzymie zostaje przyjęty na audiencję przez papieża Klemensa XII. Dociera aż do Sycylii i wraca przez Piemont, Szwajcarię i Alzację do Niemiec. W lipcu 1731 roku przebywa znowu w Augsburgu, a zimę spędza we Wrocławiu. Siedem następnych lat mija mu na rozległych podróżach po Niemczech, Węgrzech, Polsce, Szwajcarii i Alzacji. Z wykonanych przez niego widoków miast sędzić należy, że zwiedził również Hiszpanię i Anglię.

Wreszcie w dojrzałym wieku ustatkował się, wrócił na Śląsk, skąd nie robi już większych podróży. W 1739 roku zostaje geometrą dworskim biskupa wrocławskiego kardynała Filipa Sycendorfa. W r. 1742 przechodzi jako inżynier na służbę pruską, w 1744 roku zosta-

## CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ.

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia” z prośbą o współpracę w dziale „Camera obscura”. Prosimy o przysyłanie dziennikom, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura” pod adresem: Redakcja „Odrodzenia”, Warszawa, Daszyńskiego 14, dział „Camera obscura”. Ustęp taki należy wyraźnie oznaczyć, najlepiej: katorowym odwołaniem. Komentarze nie są potrzebne. Do przesyłek należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału, zastrzegając sobie prawo wyyskania go w dziale „Camera obscura”. Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznaczona nagrodę w wysokości 1000 zł, którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę zł 1000 otrzymał czytelnik, który nadesłał wycinek z „Rolnika Polskiego”. Ponieważ nie podał ani nazwiska, ani adresu, przekazyaliśmy nagrodę „Czytelnikowi” na budowę „Domu Awa Polskiego”.

### JAK ZOSTAC POETA?

Dowiadujemy się o tym z „Listów do młodych poetów”, nadesłanych w „Rolniku Polskim” przez St. Czernikę:

Niechże nikt nie ma złudzeń, że o wierszu stanowi rym, że gdy zastąpi się wyrazy: biady—sady, lody—ogrody, to już z tego powstanie wiersz. Przenigdy! Może w wierszu nie być ani jednego rymu, może być ułożony bez przepisów (których znajomość jednak jest bardzo użyteczna) a może w tym być poezja.

Zależy to od umiejętności patrzenia na otaczający nas świat. Kto, patrząc na plot, widzi tylko kolki, kto patrząc na sosnę, widzi tylko sosnę, temu trudno zostać poetą, gdyż nie ma poetyckiego spojrzenia. Kto zaś patrzy na plot i w każdym jego drążku spostrzeża jakies inne zjawisko, gdy jeden przypomina mu żołnierza, inny pajaca, jeszcze inny jakas żyrafę, gdy umie nie tylko tak porównywać, ale ożywiać te zjawiska, wyobrazić sobie jakas scenę przy tych częściach plotu, jakby jeden kolek z drugim prowadził rozmowę, ten posiada wyobraźnię czyli fantazję, posiada poetyckie spojrzenie, i taki człowiek dopiero może być prawdziwym poetą. Inny przykład: rozżarzone węgle w piecu. Kto ma spojrzenie poetyckie, temu czerwone węgielki mogą nasycać wyobrażenie różowych oczu królika i już ma piec napelniony żywymi stworzonkami i samorzutnie powstaje z tego piękna bajka poetycka.

Poezja nie polega naszym zdaniem na rozmowie jednego kolka z drugim kolkiem, ani tym bardziej na tym, by napelniać piec żywymi stworzonkami. Kto w trzy lata po Majdankach i Oświęcimach stosuje „poebobnie” metafory dla uzyskania „pięknej bajki poetyckiej”, nigdy nie będzie poetą, bo nie wyobrażamy sobie poezii bez człowieczeństwa.



ŚLUŻBA POLSCIE!

Od ob. Adema Kisielewicz, naucz. szk. powsz. w Bierutowicach, woj. wrocławskiej, otrzymaliśmy plakat następującej treści: „Śłużba Polsce — wyrazem dążeń milionów młodych polek i polaków!” Jak donosi ob. Kisielewicz, „afisze te przez kilka dni głośno naszym miastu, że odtał Polak i Polka pisze się małą literą”. Prosimy ob. Dyrektora drukarni, oznaczonej na plakacie literami „P. W. Z. Gr. O. 8 zam. 157 F 2046”, by zechciał sprawdzić, kto w podległej mu drukarni służy w ten sposób Polsce. Czyżby Polak? Na Ziemiach Zachodnich?



OWOC WYSILKU

W „Życiu Warszawy” czytamy: W ub. roku jesienną nawozem dzisiejszej nowej Marszałkowskiej, przebitym wśród gruzowiska, ruszyły tramwaje. Połączyły one odległy Żoliborz ze Śródmieściem. Był to owoc wysiłku młodzieżowych Hufców Pracy.

Właśnie! Właśnie! Przypominamy sobie, że przechodząc kiedyś Nową Marszałkowską spostrzegliśmy tysiące młodych ludzi! kucających w bardzo dwuznacznych pozach. Zapytani przez nas co robią, odpowiedzieli: „Na korektę „Życia Warszawy!”



OPERA

W „Expressie Wieczornym” czytamy:

Z okazji gościnnego występu tenora opery Belgradzkiej Aleksandra Marinkowica znowuocinę operę komediową „Szedzdana narzeczoną”. Znać było, że udział w operze czeskiego gościa ożywił cały zespół.

Już chcielibyśmy zapytać od kiedy to Belgrad leży w Czechosłowacji, ale jedno spojrzenie n. podpis pod wzmianką wyjasnił nam wszystko. W porządku! Autorem wzmianki jest ulubieniec naszych czytelników: Szymon Waljewski!

W poprzednim 17 (178) numerze „Odrodzenia” z dnia 25 kwietnia 1948 r.: Jerzy Borejsza: Ideologia na śmietniku? — W piątą rocznicę powstania w ghetcie; Wanda Karczewska: Nad albumem „Stara Warszawa”; Stanisław Wygodzki: wiersz. — Mirosław Krleża: Odsyłają nas do Azji. — A. Z. L.: Sztuka Jugosłowiańska w Muzeum Narodowym. — K. I. Galczyński: Śłużba Polsce — Mieczysław Jastrun: Xsieźniczka Izraeliska — Ewa Szelburg-Zarembina: Wyjta ściana. — Wojciech Żukrowski: Róża ojca. Stefan Dębski: O Franciszku Halasie — Sztuka dla dzieci i młodzieży: Stefan Szuman: Styl bajkowy; Maria Kann: Nawet i cyprysy mają swe kaprysy...; Julian Tuwim: Gdyby... (We-